**Nr. 138.** Lwów — Niedziela dnia 24 Czerwca. **Rok 1906.**

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h.
w Niemczech . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

# PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . . . . . 40 h.

Dziś: 24 św. Jana Chrz. | 24 Bartłomieja | Jutro: 25 św. Prospera B. | 25 Onufrego W. | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Rękopisów Redakcya nie zwraca. | Wschód słońca o godz. 3 m. 29, Zachód „ 7 m. 22 | Długość dnia godzin 15 m. 53, Przybyło dnia od wczoraj 0 m.



## Petersburskie wrażenia.

Piszą nam z Petersburga 19 b. m.:

(=) Wszędzie: w dumie, w salonach, na ulicach mówi się teraz o bardzo prawdopodobnem ustąpieniu gabinetu Goremykina. Takie rozmowy właściwie nie ustawały od 26 maja, od owej soboty, kiedy to gabinet wystąpił ze swą deklaracyą, na którą duma odpowiedziała grzmiącymi okrzykami: — Precz! Do dymisyi! Kaci, mordercy, złodzieje!

Z tego powodu Goremykin oczywiście ani pomyślał o dymisyi. Gdyby jego ministeryum opierało się o dumę, to naturalnie dzień 26-ty maja byłby dniem jego Cuszymy. Ale ministeryum nie potrzebuje zaufania dumy, ani go nie szukało. Ono samo przyszło do dumy, aby jej wyrazić wotum nieufności. Złożyło oświadczenie, które było surową krytyką programu izby poselskiej: nazwało ten program niemożliwym, nielegalnym i lekkomyślnym. Czegoż się mogło spodziewać po takiem oświadczeniu? Duma stałaby się zgromadzeniem pachołków, gdyby się ukorzyła. Musiała pozostać przy swym programie, a że to czyni, musiała rządowi powiedzieć. Oto wszystko. Bitwy, walki nie było, a więc tembardziej nie było Cuszymy. Lecz się zawiązała tragedya. Między dwiema instytucyami, które zostały powołane do wspólnego rządzenia, rozwarła się przepaść. Ani jej zapełnić, ani mostu nad nią rzucić. Z dumy poczęły wychodzić rewolucyjne wezwania do narodu, niektóre tak gwałtowne, że prokuratorya żądała wydania jej autorów tych odezw, a duma odmawiała wydania. Nawzajem rząd przez gubernatorów zaczął publicznymi okólnikami, ogłaszanymi w gminach, potępiać dumę, wyszydzać ją, nazywać służką wrogów Rosyi. Zwolennicy dumy jęli urządzać demonstracye, a zwolennicy rządu odpowiedzieli petycyami do cara o rozpędzenie dumy. Byłoby to wszystko trywialną farsą, gdyby się nie rozprzęgały stosunki, gdyby tu i ówdzie nie zaczęła się hajdamaczyzna, gdyby nareszcie krew się nie polała. Poseł Szczepkin, sam wytrawny sędzia, nadesłał dumie sprawozdanie z Białegostoku o tamtejszym pogromie. Okazuje się, że był on przygotowany przez policyę, że oficerowie w wilię wypadku pouczali żołnierzy, aby nie przeszkadzali „czarnej sotni"; że czynownicy obrócili swe mieszkania na składy zrabowanych rzeczy; że gubernator już we wtorek pisał do jenerała Bodera, iż we czwartek będzie pogrom, więc wojsko powinno otrzymać odpowiednie wskazówki. Czynownictwo pokazało w Białymstoku, że może powtórzyć okropności paryskiej komuny. Stało się to bez wiedzy gabinetu i dla obalenia jego. Czynownictwo bardziej od dumy nie lubi Goremykina za cierpliwość, oględność i łagodność środków, więc podstawiło mu stołek, a spodziewało się, iż natychmiast powołany będzie rząd silnej ręki. Lecz nie przewidziało, że na wypadki białostockie rewolucyoniści odpowiedzą buntami w wojsku. Powstały one w licznych garnizonach w głębi Rosyi, najsroższe jednak w Sebastopolu, gdzie rokosz podniosła artylerya, i w Kronsztadzie, gdzie od dwóch dni odbywa się na ulicach strzelanina, nawet z armat. Cywilna ludność ucieka stamtąd na czółnach do Oranienbaumu i do Petersburga. Cała wyspa Kotlin, na której rozłożył się Kronsztadt, jest zrewolucyonowana. Od naocznych świadków, którzy szczęśliwie uciekli w nocy i długo się błąkali na morzu, słyszałem o zawziętych walkach żołnierzy pułku wyborskiego z majtkami z okrętów wojennych. Kiedy nadeszła wiadomość o białostockiej rzezi, majtkowie zaczęli domonstrować. Z „Gromoboja" spuścili chorągiew państwową, a wywiesili żałobną. Zdarzyło się, że gromadka majtków powitała drwiącymi okrzykami pluton kozacki, przejeżdżający pod dowództwem oficera. Jeden majtek wysunął się naprzód i obróciwszy się do kozaków plecami, zgiął się w pół, a oficer kozacki natychmiast doń przyskoczył i ściągnął go nahajką. Wnet majtkowie rzucili się na kozaków i okropnie ich zbili. To był początek rewolty. To już trzecia od roku. Pierwsza wybuchła 3 lipca na krążowniku „Minin", do którego wnet się przyłączył pancernik „Aleksander III". Oficerów załoga uwięziła, wywiesiła republikańską chorągiew i chciała wypłynąć na morze, ale nie było na okrętach maszynistów. Z brzegu zaczęto strzelać z mitralisz do zbuntowanej załogi, trupem położono prawie 200 majtków i tak stłumiono rokosz. Bunt drugi w listopadzie był o wiele straszniejszy. Wtedy walczono na okrętach i na ulicach. Wzniecono liczne pożary, zburzono wiele domów, zabito mnóstwo osób cywilnych, zatopiono kilkanaście towarowych i pasażerskich statków, w końcu rokoszanie zaczęli plądrować miasto, ale z Petersburga przypłynęło świeże wojsko i stłumiło ruchawkę, a potem były liczne egzekucye. Chociaż zmieniono prawie całe załogi okrętowe, jednak zarzewie buntu zostało i oto teraz w Kronsztadzie znowu jest rewolucya.

Te zamieszki w wojsku, hajdamactwo chłopskie, demonstracye w miastach, strejki robotnicze, umyślny nieład na kolejach, pożary składów intendanckich, mordowanie żandarmów i urzędników policyjnych — wszystko to razem przekonało sfery dworskie, że trzeba coś zrobić, bo trwanie takiego stanu prowadzi do powszechnej rewolucyi. Gwardya może zasłonić cara, ale nie zasłoni państwa. I oto zaczęto się zastanawiać nad zmianą gabinetu.

Kwestya tylko w tem: kogo powołać? Czy tych, którzy będą rządzili szablą czy też zwolenników konstytucyi? Oprócz dumy i rady państwowej jest teraz nieoficyalny parlament, który pospolicie nazywają „izbą gwiaździstą", ponieważ się składa z dygnitarzy, udekorowanych gwiazdami. Jak przed rokiem było stronnictwo wielkich książąt, wrogie konstytucyi, tak po ich ucieczce do Paryża powstało stronnictwo gwiaździstych dygnitarzy. Komenderuje tą kliką jen. Trepow, a ona sama uważa się za cytadelę systemu biurokratycznego. Otóż z tej sfery wychodzą rady bardzo energiczne: rozpędzić dumę, ogłosić w całem państwie stan wojenny i dusić „kramolę", to znaczy spisek rewolucyjny, a spiskiem podług niej jest wszelka dążność konstytucyjna. Lecz na to nie pozwala stan skarbu. Jeżeli 6 lipca starego stylu rząd nie otrzyma drugiej raty ostatniej zagranicznej pożyczki, to nie będzie pieniędzy na pensye i wyżywienie wojska. Wówczas armia się rozbiegnie, potworzą się niezliczone bandy i nastanie straszna anarchia. Z tego powodu nie można myśleć o reakcyi. Prezydentowi Moskwy p. Guczkowowi, który należy razem z hr. Heydenem i ks. Wołkońskim do „październikowców" proponowano stanąć na czele rządu, któryby się starał zbliżyć się do dumy, ale on odmówił. Teraz więc wymieniają b. ministra skarbu Kokowcewa, prezydenta dumy Muromcewa, ks. Swiatopełka-Mirskiego, co dzień kogoś innego, nawet co dzień kilku innych. Zapanowała zupełna niepewność. Lecz tymczasem w samej dumie odbywa się przewrót. Kadeci zaczynają zrywać z socyalistyczno-rewolucyjną partyą chłopską „pracowników" (trudowików). Jeżeli zdołają przyciągnąć do siebie antonomistów i Polaków, których dotąd nie raczyli widzieć, to stworzą nową większość, względnie umiarkowaną, a wówczas może stosunki poczną się lepiej układać. Ale trzeba powiedzieć, że wszelka zwłoka przyśpieszy rozczarowanie, które duma już zaczyna wzbudzać.

## Koronacya króla Haakona.

W starem mieście koronacyjnem, w Trondhjem, zaczęły się uroczystości, któremi demokratyczna, republikańsko usposobiona Norwegia postanowiła pompatycznie zakończyć pokojową rewolucyę przeciw unii ze Szwecyą. Na początku kwietnia parlament uchwalił, że pierwszy król niepodległej Norwegii musi być ukoronowany i namaszczony w starożytnej katedrze trondhjemskiej, gdzie się przed wiekami koronowali Witingowie. Wprawdzie stronnictwo republikańskie w storthingu, zwykle bardzo silne i decydujące, pozostało w mniejszości w sprawie koronacyjnej, bo storthing uchwalił odbyć tę uroczystość i wyasygnował na nią sto tysięcy koron, ale republikańska agitacya zdołała zniechęcić do niej ogół ludności. Zjazd w Trondhjemie jest stosunkowo mały. Więcej zainteresowali się tą uroczystością bogaci cudzoziemcy, niż Norwegowie. Dzienniki duńskie donoszą, że kiedy we wtorek królewska para z całym dworem wpłynęła do portu w Trondhjemie, to było więcej powitalnych okrzyków w języku angielskim niż norweskim. Dopiero na ulicach, po ognistej przemowie burmistrza, ludność się rozruszała i z zapałem odprowadziła parę królewską do miejskiego budynku, zwanego Domem Fundacyjnym. Tam król będzie mieszkał przez cały ciąg uroczystości.

Z dawnego, historycznego miasta Nidaresu, z owego ogniska potężnej niegdyś dzierżawy Witingów, mało pozostało pamiątek w dzisiejszem portowem mieście Trondhjemie, gdzie wre niemilknąca wrzawa handlowa. Ale w fjordzie tamtejszym jest mała skalista wysepka Munkholmen, na niej wysokie zębate mury zamku, obróconego niegdyś na więzienie, a potem na muzeum morskie, wewnątrz zaś tych murów majestatycznie się wznoszą wieże starej katedry, najcenniejszej pamiątki z czasów norweskiej wielkości. Tysiąc lat stoi już ten tum, zaliczany do dziwów architektury gotyckiej, dumny rywal katedry kolońskiej. Po reformacyi począł on się zwolna obracać w ruinę, ponieważ należało do gorliwości protestanckiej niszczyć wszystko, co przypominało czasy katolicyzmu. Już gdzieniegdzie zapadły się sklepienia, już zamurowano niektóre okna, pozbawione kamiennych koronek. Dopiero kilka lat temu przystąpiono do gruntownego odnowienia świątyni, która będzie już protestancką. Nawet bogaci cudzoziemcy składali się na koszta odnowienia tego gmachu, a cesarz Wilhelm II co roku składał na to dość znaczną kwotę, czem zasłużył na miano przyjaciela Norwegii. Niepodobna było wykończyć robót restauracyjnych do dnia koronacyi, więc gipsowemi odlewami uzupełniono brakujące części, aby tum przynajmniej wydawał się odnowionym i swą wspaniałością zadziwił koronacyjnych gości.

Pierwotnie zamierzano odbyć koronacyę podług starego ceremoniału. A więc tak, że najpierw król jeździłby po mieście na rumaku, pokrytym złotogłowiem, którego końce z tyłu nieśliby giermkowie w zbroi, a koń byłby prowadzony za lejce przez pierwszych dygnitarzy państwa. Potem na barce, pokrytej szkarłatem, a ciągnionej przez inne barki, król popłynąłby na wyspę, gdzie z biskupiego pałacu szedłby pieszo do świątyni, a tam znowu zasiadłby na chórze, aby go zewsząd dobrze widziano, i tamby mu namaszczono piersi, uszy, oczy i usta, następnie zaś prymas królestwa i dygnitarze wzięliby koronę i wszyscy razem włożyliby ją na króla. Przekonano się jednak, że ten ceremoniał nie sprawiłby dziś podniosłego wrażenia, a mógłby być przerwany jakąś anarchiczną niespodzianką. Zmieniono tedy i skrócono akt koronacyi. Król zasiadł wczoraj w środku świątyni na podwyższeniu, biskup odczytał modlitwę i wspólnie z prezesem gabinetu włożył koronę na głowę króla, drugi minister zarzucił mu płaszcz na ramiona, trzeci podał mu berło, czwarty — miecz, piąty stanął za nim ze sztandarem, a wtedy on powstał i wygłosił przysięgę. Następnie z małemi zmianami powtórzyło się to samo z królową — i na tem koniec. Duchowieństwo odprawiło zwykłe nabożeństwo, odezwały się dźwięki marsza koronacyjnego i wszyscy procesyą opuścili świątynię. Potem już tylko będą bale, uczty i przeglądy liliputiej armii.

## Korespondencye.

Wiedeń 22 czerwca.

*(Śledztwo parlamentarne przeciw d-rowi Koerberowi. Komisya budżetowa wzywa byłych ministrów d-ra Koerbera, bar. Calla i Böhm-Bawerka, by stawili się przed nią. Kwestya, czy staną oni osobiście, czy też pisemnie dadzą swe wyjaśnienia. Memoryał w sprawie reformy adwokatury.)*

(y) Uchwała komisyi budżetowej Rady państwa, ażeby zaprosić byłego prezesa gabinetu d-ra Koerbera, tudzież dwóch innych byłych ministrów: d-ra Böhm-Bawerka i bar. Calla, do osobistego stawienia się przed tą komisyą i dania wyjaśnień w sprawie rozdawnictwa robót około rozszerzenia portu w Tryeście bez poprzedniego zezwolenia parlamentu—stwarza precedens zupełnie nowy w Austryi. Niejednokrotnie wprawdzie występowały frakcye radykalne, zwłaszcza socyaliści, z wnioskami, by z łona parlamentu wydelegowano osobne komisye śledcze dla przeprowadzenia dochodzeń czy to w sprawie strejków, czy też w wypadkach zaburzeń, w których do ich stłumienia użyto broni itp. — Każdym razem jednak rząd jak najbardziej stanowczo sprzeciwiał się takim wnioskom, powołując się na to, że w innych państwach porobiono jak najsmutniejsze doświadczenia z tego rodzaju parlamentarnemi śledztwami. Nigdy też jeszcze nie znalazła się w austryackiej Radzie państwa większość za podobnym wnioskiem, ani przed kilku laty, gdy socyaliści koniecznie domagali się wysłania parlamentarnej komisyi dla zbadania przyczyn wielkiego strajku w czeskich kopalniach węgla, ani też później, gdy Rusini i socyaliści żądali ustanowienia takiej samej komisyi śledczej dla sprawy strejków rolnych w Galicyi. — Obecnie większość komisyi budżetowej odstąpiła od dotychczasowej praktyki i postanowiła przemienić się w pewnego rodzaju trybunał sądowy, czy też izbę śledczą i przesłuchać d-ra Koerbera, niewiadomo tylko, w jakim charakterze: jako świadka, czy jako oskarżonego?

Czy pp. dr. Koerber, Boehm-Bawerk i br. Call usłuchają tego wezwania i stawią się przed komisyą budżetową na indagacyę, to jeszcze nie jest zupełnie pewne. Dr. Koerber gotów jest wprawdzie to uczynić, i zanim jeszcze wrócił do Wiednia, wystosował z Brukseli do br. Becka list, w którym oświadcza, że oddaje się całkowicie do dyspozycyi komisyi budżetowej, — wszelako obecny prezes gabinetu ma, jak się zdaje, poważne wątpliwości co do tego, czy zainicyowane przez uchwałę większości komisyi budżetowej śledztwo parlamentarne przeciw poprzedniemu rządowi przyniesie państwu jakikolwiek pożytek. Obecny bowiem na posiedzeniu komisyi budżetowej reprezentant rządu szef sekcyi Stibral w sposób delikatny dał tej komisyi do poznania, że jeżeli chce koniecznie przesłuchać osobiście członków poprzedniego rządu, to w każdym razie powinna przedtem porozumieć się w tej sprawie z obecnym prezesem gabinetu. Większość komisyi nie uznała tego wszakże za właściwe i uchwaliła wystosować wezwanie do trzech dawnych ministrów. Możliwem tedy jest, że br. Beck postara się o to, aby wezwani na śledztwo ministrowie nie stawili się osobiście, lecz tylko pisemnie porozumiewali się z komisyą budżetową i przesłali jej swoje wyjaśnienia.

Cała wogóle debata, przeprowadzona dotychczas w komisyi budżetowej nad tą sprawą, nie pozostawia żadnej wątpliwości co do tego, że komisya ta prowadzi proces nie tyle może przeciw drowi Koerberowi, ile przeciw paragrafowi czternastemu konstytucyi i chce uczynić każdemu przyszłemu rządowi niemożliwem gospodarowanie za pomocą dekretów, wydanych na podstawie paragrafu czternastego. Naturalnie jednak nie myśli przytem wcale o tem, aby równocześnie uniemożliwić wszelką swawolę obstrukcyjną i zmusić parlament do uczciwego spełniania ciążących na nim obowiązków konstytucyjnych.

Wiedeńska izba adwokacka zamierza wystąpić z ważną inicyatywą, dotyczącą reformy obowiązującej obecnie ordynacyi adwokackiej z r. 1868. Specyalna komisya, wybrana na ostatniem walnem zgromadzeniu tej izby, wygotowała już w tej sprawie obszerny memoryał, który przedłożony zostanie rządowi. Przedewszystkiem zastanawiała się ta komisya nad środkami, za których pomocą możnaby zapobiedz zbytniemu przepełnieniu stanu adwokackiego. Wnioski, aby przywrócono dawny *numerus clausus*, tj. by oznaczono maksymalną liczbę adwokatów, jacy mogą praktykować w danej miejscowości, tudzież wniosek, aby przywrócono dawny system mianowania adwokatów odrzucono wszystkimi głosami przeciw dwom i w zasadzie oświadczyła się komisya za tem, aby adwokatura nadal pozostała zawodem wolnym, — zbytniemu mnożeniu się liczby adwokatów można jednak zdaniem tej komisyi zapobiedz przez to, że izby adwokackie przed wpisaniem kogoś na listę adwokatów bardziej surowo niż dotychczas będą badały, czy odnośny kandydat jest człowiekiem zasługującym na zaufanie. Następnie domaga się wiedeńska izba w tym memoryale, ażeby rozszerzono zakres działania adwokatów przez dopuszczenie ich do zastępowania stron przed sądami wojskowymi, przemysłowymi, honorowymi i wogóle przed wszelkiemi możliwemi władzami. Także państwo w procesach, jakie prowadzi, powinno być zastępowane tylko przez adwokata, a nie przez urzędnika prokuratoryi skarbu, jak to ma miejsce obecnie. W końcu żąda ten memoryał zapewnienia adwokatowi pewnego rodzaju nietykalności za czynności spełniane przez nich w wykonywaniu ich zawodu. Dziś bowiem adwokat, który zarzuci stronie przeciwnej lub świadkowi kłamstwo, albo wyrazi powątpiewanie co do wiarygodności rzeczoznawców, narażony jest na procesy o obrazę honoru — a skutkiem tego skrępowany jest w wykonywaniu swego zawodu.

Żądania wiedeńskiej Izby adwokackiej są tak niedorzeczne, że tylko zaślepienie, podyktowane osobistym interesem, może wytłómaczyć tych panów, iż poważają się wystąpić z podobnemi propozycyami. Cóż powiedzieć naprzykład o żądaniu, żeby państwo, mające doskonałych urzędników w prokuratoryi skarbu, musiało z grosza podatkowego opłacać słone rachunki adwokatów, a nie miało prawa bronić się przed sądami za pośrednictwem owych urzędników. Albo czyż nie horendalnym jest wniosek, żeby adwokat miał prawo bezkarnie mówić impertynencye stronie przeciwnej!? Wtedy wyrobiłaby się osobna specyalność adwokatów-pyskaczy, a dość byłoby ogłosić przeciwnikowi, że się wzięło takiego adwokata-pyskacza, aby przystał na wszystkie warunki i od procesu odstąpił.

---

7)

## Artur Grottger.

(Ciąg dalszy).

Gdy Olenia w 8 miesięcy później umarła, zrobił Grottger nawpół z fotografii, nawpół z pamięci portret jej olejny, który był u mojej stryjenki w Klebanówce. Co się z nim stało, nie wiem, jednakowoż ten portret Grottgera Oleni nie był wcale podobnym.

Będąc w Krynicy, wyjeżdżała matka moja codziennie popołudniu powozem w okolicę. Powóz miał 4 siedzenia; na przednim siedziała matka i Olenia, naprzeciw ja z Grottgerem. Po drodze zatrzymywaliśmy się, zbierali polne kwiaty do bukietów „rustique", które Grottger z Olenią układali co dnia w inne kombinacye. Często wysiadało całe towarzystwo i szliśmy wszyscy pieszo do jakiegoś ładnego kamienia, na jakieś wzgórze, z którego widok dalszy się roztaczał. Grottger wpadał wówczas w nastrój sielankowy, zachwycał się tylko naturą i marzył o skromnem, cichem życiu wiejskiem. Kilka razy rzucił tak, ażeby to matka moja słyszała: „O, gdyby to pan Jan chciał mnie wziąć na jakąś ze swych leśniczówek, ażebym nie widział nic, prócz ładnych starych drzew sarn pasących się na halawach, i strzelał orły i krogulce". Wierzę, że westchnienia tego rodzaju wyrywały mu się z serca pomimo woli i były szczere, gdyż po tych okropnych przejściach, po tem życiu napiętem po nad siły, uciążliwem i niespokojnem, pragnienie wypoczynku na łonie natury było fizyologiczną konsekwencyą: zmęczony pragnął wypoczynku. Rozbitek, który uratował jeno życie i jeszcze jest pod wrażeniem wzburzonych fal morza i zatonięcia okrętu, pragnął i tęsknił do jakiegoś cichego ustronia, daleko od zgiełku świata, daleko od ludzi, na łonie świętej matki—natury. Antyteza pomiędzy burzliwą przeszłością, a pogodną teraźniejszością wytworzyła usposobienie i nastrój duszy, którego owocem była owa Madonna, o wyrazie pogodnym, skromnym i świętym.

Grottger sam zachwycał się tą swoją pracą; nazwał ją: Madonna di Rosa. Kontrast dyskretny i delikatny pomiędzy jaśniejszemi tonami twarzy i wieńca róż, a resztą obrazu, wyrafinowana kompozycya kolorów kontrasty te dwa łagodząca i w jeden jakiś mistyczny nastrój łącząca, nadawała tej Madonnie Grottgera urok i „charme" niezwykły pracom jego, przeważnie dramatycznym. Madonnę tę pełną świętości i wdzięku nie mógłbym lepiej porównać, jak do jednego z tych pełnych uczucia utworów Chopina, przenoszących nas swymi rzewnymi tonami w jakąś wymarzoną nadludzką świętą krainę uczuć. Co się z tą Madonną stało?!

Po trzech tygodniach opuściliśmy Krynicę, spiesząc do domu. Grottger w Krynicy pozostał, gdyż kazał sobie przysłać z Krakowa płótna i inne utensilia malarskie i chciał tam zrobić kilka obrazów. Zostawiliśmy go w dobrych rękach hr. Włodzimierzowej Dieduszyckiej, która się nim zaopiekowała. Przysłał on mi stamtąd drugą Madonnę, do której wziął motyw z hr. Włodzimierzowej.

Alfonsyna z hr. Miączyńskich hr. Włodzimierzowa Dieduszycka była swego czasu najpiękniejszą kobietą w całym kraju i rzeczywiście to, co Niemcy nazywają „ein Gnadenbild". Twarz piękna bez wdzięku nazywa się „ein Bild ohne Gnaden", jeśli zaś Matka Boska w obrazie ma wyraz, który na modlącym się sprawia wrażenie, że znalazł u niej łaskę i miłosierdzie, wtedy wyraz taki nazywa się łaską, a taki obraz Matki Boskiej zwano „ein Gnadenbild". Otóż hr. Dieduszycka była pięknością tego rodzaju: majestatyczną, ale w rysach jej ślicznej twarzy było jeszcze coś więcej niż piękność, był ten wyraz nazwany „Gnaden". Ta Madonna Dieduszycka była drugą edycyą Madonny „di Rosa" *mutatis mutandis.* Jest to blondynka Rubensowska, z tak samo rozpuszczonymi włosami, ale koloru złotego blond. Pod szyją suknia barwy czerwonej, ale wyszukanego, Rubensowskiego, odcienia. Na ramionach i głowie chusta zarzucona koloru niebieskiego. Powieki oczu również na wpół spuszczone, a w ślicznej twarzy wiele wdzięku, z tą różnicą, że tu jest piękno wspaniałe, imponujące, królewskie, — tam zaś piękno dziewiczego sromu i niedotykalnej świętości.

Madonnę-Dieduszycką mam w pałacu Szlachcinieckim. Wisi ona w moim pokoju sypialnym nad łóżkiem. Tamże w Szlachcińcach są jeszcze i inne prace Grottgera: portret matki Grottgera akwarelowy, obraz z cyklu „Lituania", śliczna główka chłopaka wiejskiego. Reszta prac Grottgera jest w Oknie.

Grottger pozostał w Krynicy aż do odjazdu hr. Dieduszyckiej, poczem wyjechał do Krakowa, a stamtąd do hrabiego Stanisława Tarnowskiego do Sniatynki. O pobycie jego w Sniatynce umieścił Kantecki wiadomości dość wyczerpujące. Ja otrzymywałem w tym czasie częste listy od Grottgera. Wszystkie moje listy, jakie od Grottgera miałem, dałem na wezwanie przez ręce wspólnego znajomego dla pana Kanteckiego, skryptora Biblioteki Ossolińskich, w celu zużytkowania ich do biografii, nad którą pracował. Listów tych mi nie oddano, pomimo, że uporczywie się o nie upominałem. Gdybym je miał wszystkie, z pewnością byłyby mi przypominały wiele okoliczności, któreby to wspomnienie znacznie wzbogaciły. Nie mając ich do dyspozycyi, cytuję z Kanteckiego ustęp, odnoszący się do nich:

W jesieni tego roku zapraszany na wieś przez p. Władysława Fedorowicza, z którym w Wiedniu żył na jak najprzyjaźniejszej stopie, z wezwania tego nie skorzystał, po części nie chcąc przerywać niepodokończanych robót, po części zaś, że mu w Sniatynce było miło i dobrze. Przytaczamy z owej pory list, pisany pod dniem 28 października, jako malujący ówczesny nastrój umysłowy i moralny Grottgera, a zarazem serdeczny stosunek z p. Fedorowiczem: Ja tu u mojego poczciwego Stacha jeszcze jakiś czas pozostać muszę. W dzień maluję, wieczorami rysuję, czasami wytrzebiam lasy z wilków, dzików, niedźwiedzi i innej zwierzyny, a czasami marzę, w czem mi w szarą godzinę wesoły kominek wtóruje — marzę o tem, co minęło, albo co na mnie jeszcze czeka. Gdyby nie ty, drogi Władku, na tem smutnem, szarem przestworzu przeszłości, z twoją gorącą, energiczną i stałą przyjaźnią, przeszłość ta byłaby mi bardzo przykrą i bolesną. Przyszłość — to jutro niepiękne, bo takie niepewne! I oto obraz moich marzeń.

„Wiele przecierpiałem — więcej, aniżelim się spodziewał. Bogu dzięki, dodać mogę, że to już wczoraj było.

„Czy owe słów kilka, któreś do mnie skierował, czy owo przypomnienie stanowcze w Twym ostatnim liściku — czy ono na mnie tak silnie oddziałało, że przestałem rozpaczać, a zabrałem się do pracy, tego nie wiem, bo chwili takiego podniesienia się duchem w owym czasie u mnie wcale sobie nie przypominam. Czułem się złamanym, jak gdyby zdeptanym. A że w końcu przyszedłem do siebie, że w końcu pomoc do mnie przyszła i podniosła mnie, to przypisuję nie sobie, tylko czarom Twej szczerej przyjaźni, która jak anioł stróż, mnie zwątpiałego prowadziła przed sobą i zawiodła w stronę, skąd przyszedł ratunek. Przyjaźń tę zachowaj mi i nadal, choć ja Ci nawzajem taką samą odpłacić nie zdołam".

„Twojej pięknej kuzyneczce powiedz, że bytnością swoją w Krynicy całe doczesne, a przynajmniej owo krynickie szczęście wszystkim późniejszym meteorom piękności podkopała — bo niechcący stała się tą nielitościwą miarą podług której już wszystkie późniejsze panny (pawie, łabędzie, krasnowrony, gęsi... krynickie) mierzono i nieszczęściem znowu na niekorzyść. Możesz sobie wyobrazić, jak to niewyczerpane źródło studyów dla takiego Hogarta; co za gra muszkułów w twarzyczce, w nosku, w ustach, za co dziwne przymrużanie oczek, co za ruchy śnieżnemi ramiony, kiedy zagrzmiało, jak z archanielskiej trąby: „ale panna F... To było okropne, a tem straszniejsze, że tylko niektórzy wybrani mieli prawo do głoszenia, jaką to była ta panna F. Ileż razy ja Twoją piękną kuzynkę od stóp do głów opisywać, a nawet rysować musiałem! Powiedz jej, że we mnie miała wielkiego sprzymierzeńca — bo przypominam sobie, że po każdem takiem mojem opowiadaniu moje piękne słuchaczki to bladły, to się czerwieniły, a krople zimnego potu występowały im na alabastrowe czółka... Tak wielką była potęga mojego słowa".

(Dokończenie nastąpi).

## Rada państwa.

**Wiedeń.** Wśród wniesionych interpelacyi znajdowały się: interpelacya p. Romańczuka do ministra handlu w sprawie poboru cła od książek ruskich przez rosyjskie urzędy cłowe; p. Breitera w sprawie polepszenia bytu państwowych pomocników kancelaryjnych i służby kancelaryjnej; p. Strauchera w sprawie pogromu w Białymstoku; interpelant zapytuje, czy prezydent gabinetu nie byłby skłonny prosić hr. Gołuchowskiego, aby w tej sprawie poczynił energiczne przedstawienia w Petersburgu.

Izba posłów dyskutowała następnie nad sprawą dowodu uzdolnienia w przemyśle gospodnim — szynkarskim. Dowodu tego domagał się zjazd szynkarzy z r. 1902. Zauważyć jednak należy, że obowiązek koncesyi w tym przemyśle, uniemożliwia nieokiełzaną konkurencyę. Oprócz tego liczyć się należy z warunkami lokalnymi. Komisya proponuje, ażeby sprawę tę pozostawić do załatwienia w drodze rozporządzenia ministerstwa handlu, wspólnie z ministerstwem spraw wewnętrznych i z korporacyami miejscowemi.

W głosowaniu wniosek komisyi przyjęto.

P. Schoenerer, powołując się na uchwałę komisyi budżetowej o zaproszenie byłych ministrów dra Körbera, Böhm-Bawerka i Calla, celem przesłuchania z powodu nielegalnych rozporządzeń na podstawie § 14, zapytał przewodniczącego komisyi konstytucyjnej, czy nie zamierza również zawezwać tych byłych ministrów przed jej forum?

Dr. Grabmayr odpowiada, że wezwanie byłych ministrów wydaje się mu jako przewodniczącemu komisyi niepotrzebnem, gdyż rozporządzenia, o które chodzi, były zawsze umotywowane.

Poseł Stein wyraża zdziwienie, że osoby które za rządów dr. Körbera całymi dniami przesiadywały u niego i gotowe były popierać każde łajdactwo w parlamencie, obecnie odgrywają rolę oskarżycieli dr. Körbera. O głównym winowajcy jednak zapomniano; jest nim ówczesny prezydent „najwyższej izby obrachunkowej" bar. Gautsch, który mógłby udzielić cennych wyjaśnień. Mówca zarzuca bar. Gautschowi korupcyę, za co przewodniczący przywołuje go do porządku. Dalej mówca omawia rzekomy handel godnościami w Izbie panów i twierdził, jakoby to stało w związku z przyrzeczeniem przez Cesarza 2,000.000 kor. na czeską Akademię sztuk pięknych.

Na tem posiedzenie zamknięto.

**Wiedeń.** W komisyi budżetowej minister Korytowski wykazywał, że, co się tyczy regulacyi rzek, należy odróżnić dwie kategorye, mianowicie te, do ustawy z r. 1901 i prace te są w toku, druga zaś pozostaje w związku z funduszem melioracyjnym, który będzie wkrótce przedłożony parlamentowi. Izba wówczas się przekona, że rząd stara się ile możności uczynić zadość życzeniom ludności. Minister oświadcza w końcu, na podstawie 15-letniej działalności swej na stanowisku, że wywodów p. Romańczuka o niesprawiedliwem traktowaniu narodu ruskiego, dla którego mówca ma serce gorące, nie może uważać za uzasadnione.

Następnie 21 głosami przeciw 8 uchwalono prowizoryum budżetowe. Referentem dla Izby obrano p. Szkenego.

**Wiedeń.** Komisya reformy wyborczej ukończyła dyskusyę nad Styryą i uchwaliła wniosek, domagający się nowego podziału okręgów, poczem rozpoczęła dyskusyę nad Galicyą.

P. Stein stawia formalny wniosek: „1) Wzywa się rząd, aby przedłożył projekt ustawy o wyodrębnieniu Galicyi i Bukowiny. 2) Do chwili przedłożenia tego projektu ustawy obrady nad Galicyą będą w komisyi wstrzymane. 3) Ustawa o wyodrębnieniu Galicyi wchodzi w życie równocześnie z ustawami o zmianie zasadniczej ustawy o reprezentacyi państwa i o ordynacyi wyborczej do Rady państwa".

Dr. Głąbiński oświadcza, że zamierza postawić wniosek podwyższenia liczby mandatów dla Galicyi. Skoro wniosek ten będzie przyjęty, postawi wniosek co do zupełnie innego podziału okręgów wyborczych. Mówca wnosi więc, aby przedewszystkiem przeprowadzono dyskusyę nad liczbą mandatów, a dopiero, gdy dyskusya będzie ukończona, przystąpić do obrad nad podziałem okręgów wyborczych.

P. Abrahamowicz podnosi, że dr. Stein podczas dyskusyi nad § 7 będzie miał sposobność postawienia swego wniosku. W obecnej jednak chwili wniosek d-ra Steina, który narusza zmianę ustaw zasadniczych, nie powinien być brany pod obrady.

W głosowaniu wniosek d-ra Steina odrzucono. Za wnioskiem głosowało 11 posłów. Następnie przyjęto wniosek d-ra Głąbińskiego, według którego ma się rozpocząć dyskusyę szczegółową nad liczbą mandatów w Galicyi.

Dr. Głąbiński zaznacza, że Koło polskie nie przystąpiło do reformy wyborczej z tym zamiarem, aby ubiegać się o podwyższenie mandatów dla Galicyi. Według ludności i zdolności podatkowej, przypadałoby dla Galicyi 28%, a więc 140 z ogólnej liczby mandatów. Galicya nie dała jeszcze tem należny jej udział w trybunale politycznym Austryi. Gdyby w przedłożeniu rządowem zadośćuczyniono tym żądaniom, to Koło polskie wówczas byłoby umiało wskazać, że przedewszystkiem nie przemawia przez nie egoizm narodowy, gdyż wówczas byłby zapewniony stan posiadania Polaków, jak i ludności ruskiej w Galicyi, gdyż wówczas byłoby zawsze, razem z Rusinów. Koło polskie jak zawsze, kiedy chodzi o interesy kraju, tak i tym razem stało na jednozgodnem narodowem stanowisku. Zarówno bar. Hohenlohe, jak obecny prezydent ministrów, o tyle przychylili się do życzenia Koła polskiego, że liczbę mandatów z Galicyi do 28% ogólnej liczby, o ile narodowe, podwyższono do 102 mandatów. Galicya otrzymuje tem samem jeszcze zawsze mniej o 38 mandatów, aniżeli, jak według ludności na Galicyę przypada. Jeżeli się zaś uwzględni, że w pierwotnie w przedłożeniu bar. Gautscha liczba mandatów dla Galicyi wynosiła, to procentowy udział Galicyi w ogólnej liczbie mandatów wynosi 20·6%, kraj zatem dostaje zawsze przeszło 7·4% mandatów, aniżeli się mu należy.

Koło polskie zaniepokojone jest obecnie pogłoskami, jakoby miało nastąpić dalsze powiększenie cyfry mandatów innych krajów, tak, że ewentualnie ten procent udziału Galicyi jeszczeby się miał zmniejszyć, ewentualnie zostanie zepchnięty na poziom przedłożenia gabinetu Gautscha.

Mówca musi przy tej sposobności zauważyć, że przez nadmierne podwyższanie mandatów dla innych krajów, położenie Koła polskiego i jego działalność wobec kraju i wyborców jeszcze bardziej byłyby utrudnione. Bukowina, kraj, który co do liczby mieszkańców i zdolności podatkowej, przedstawia zaledwie 10% Galicyi, a pod względem kulturalnym mniej więcej stoi na poziomie Galicyi wschodniej, otrzymała w projekcie Gautscha 11 mandatów. Dlatego musiałoby Koło polskie zażądać, aby dla Galicyi ustanowiono jako minimum dziesięć razy tyle mandatów, jak dla Bukowiny, t. j. 110. Obecnie Bukowina dostała 8 nowe mandaty bez uwzględnienia narodowego stanu posiadania Polaków w tym kraju, tak, iż Koło polskie musiałoby obstawać przy 140 mandatach. Mówca sądzi, że dopóki nie będzie ustanowiona ogólna liczba posłów, wybieranych ze wszystkich krajów, dopóty nie może się Koło polskie oświadczyć za jakiemkolwiek określeniem liczby mandatów dla swego kraju. Gdyby Koło polskie trwało przy żądaniu 140 mandatów, to przez to cała reforma wyborcza mogłaby być unicestwioną. Ponieważ nie leży to w myśli Koła polskiego, dlatego Koło nie trwa przy tej liczbie, pomimo, iż zasadniczo przy tem obstaje, że ta liczba należy się Galicyi.

Gdyby Polacy chcieli tylko dotychczasowy swój stan posiadania w Galicyi utrzymać, to musieliby w Galicyi tylko dla Polaków domagać się 83 mandatów, gdyż według dawnej ordynacyi wyborczej mieli Polacy 65 prc. wszystkich mandatów. W przedłożeniu rządowem przyznano Polakom 75 mandatów, więc teraz przez uzupełnienie ośmiu mandatów stan posiadania mógłby być utrzymany.

Koło polskie jest zdecydowane, jeśliby osiągnąć miało większą liczbę mandatów dla Galicyi, podzielić się tą podwyżką z drugą narodowością. Dlatego też jest zdecydowane zaproponować odpowiednie podwyższenie mandatów także dla Rusinów.

W sprawie zdolności podatkowej istnieje dość krajów koronnych, wobec których Galicya zdaje się być po macoszemu traktowaną. Również w stosunku, w którym Galicya przyczynia się do armii (Galicya rok rocznie dostarcza $^1/_8$ wszystkich rekrutów) musiałaby być liczba mandatów podwyższona.

Według najnowszych dyspozycyi, przypada na Galicyę jeden mandat na 71.400 mieszkańców, gdy w innych krajach przeciętnie na 46.000. Jeżeli się uwzględni, że naturalnie i w Galicyi istnieją wielkie różnice i że istnieją również okręgi wiejskie i że Galicya zachodnia o wyższej kulturze bardziej powinna być uwzględnioną, to wynika stąd również wielka różnica między mandatami dla Galicyi, a dla innych krajów.

Imieniem więc swego klubu powinienem uczynić wniosek, aby liczbę mandatów dla Galicyi oznaczyć na 140. Ponieważ jednak padło już słowo o 110 mandatach, pragnie przy tej cyfrze pozostać i stawia wniosek, aby komisya podwyższyła liczbę mandatów dla Galicyi o 8, tj. do 110.

W razie gdyby wniosek ten był przyjęty, zaproponuje mówca odpowiedni podział okręgów wyborczych, w razie zaś odrzucenia, zastrzega sobie wniesienie dotyczącego wotum mniejszości.

Poseł Wassilko oświadcza, że nie będzie występował przeciw wnioskowi poprzedniego mówcy, gdyż również Rusini we wszystkich oświadczeniach, dotyczących reformy wyborczej uskarżali się zawsze na upośledzenie Galicyi wogóle, ponieważ stali na stanowisku interesów całego kraju. Jednakże przeciw uzasadnieniu przez posła Głąbińskiego jego wniosku musi mówca w stanowczy sposób zaprotestować. Przedewszystkiem zupełnie jest niesłusznem, jakoby Koło polskie zastępowało w sprawie reformy wyborczej interesy całego kraju. Po raz pierwszy to się zdarza, że łącznie z reformą wyborczą reprezentant Koła polskiego w oficyalny sposób mówi o Rusinach w Galicyi. Faktem jest, że natychmiast po upadku Gautscha, którego projekt dla Rusinów bez porównania był korzystniejszy od projektu Hohenlohego, Koło polskie wszystkiego próbowało, aby liczbę mandatów dla Galicyi podwyższyć, ale żadnego nie uczyniło kroku, aby Rusinom choć o jeden mandat więcej przyznano. Przeciwnie Koło polskie cyfrę 27 mandatów, ustanowioną w projekcie Gautscha dla Rusinów, co zawsze jeszcze jest wielką krzywdą dla Rusinów w Galicyi, obniżyło na 19, tak, że Rusini, którzy w Galicyi stanowią prawie równą liczbę z Polakami, obecnie ze 102 mandatów otrzymają 19. Oto jest stanowisko, jakie zajmuje Koło polskie wobec Rusinów.

Mówca dziwi się, że Głąbiński także i dziś przy żądaniu podwyższenia liczby mandatów o 8 twierdził, iż Koło polskie porozumie się z drugą narodowością w Galicyi. Nawet wówczas, gdyby wniosek Głąbińskiego został przyjęty, i Galicyi danoby więcej o ośm mandatów, to tych ośm mandatów nie w zupełności, lecz tylko w części przypadłoby Rusinom. Koło polskie uzasadnia swe żądanie tem, że stoi na stanowisku narodowego posiadania. Możnaż — pyta mówca — powoływać się na stan posiadania, który się zajmuje mocą bezprawia i czyż można domagać się uprawnienia bezprawia. Muszę więc, chociaż imieniem Rusinów jestem obowiązany oświadczyć się za żądaniem, wyrażonem przez Głąbińskiego o podwyższenie liczby mandatów, odeprzeć uzasadnienie wniosku i powiedzieć, że tem oddano złą przysługę sprawie powiększenia cyfry mandatów. Właśnie przez uzasadnienie to Koło może osiągnąć, że wniosek zostanie odrzucony, a to doprowadza mówcę do przypuszczenia, że Koło polskie nie bierze zupełnie na seryo swego wniosku o pomnożenie mandatów i że postawiło go tylko, aby pokazać, że obecnie, kiedy na razie mniej więcej wszystko się osiągnęło, pragnie starać się i dbać o Rusinów. Jednakże w ten sposób nie uzyska się niczego dla Rusinów i tego się też prawdopodobnie pragnie. Gdyby Koło polskie chciało wobec Rusinów sprawiedliwie postąpić, miało do dziś dosyć czasu do porozumienia się z zastępcami narodu ruskiego. Rusinom należy się przynajmniej tyle samo, a może i o jeden mandat więcej niż Polakom. Gdyby istniała sprawiedliwość, gdyby stronnictwa tego parlamentu nie powodowały się rozmaitymi względami politycznymi, lecz postępowały sprawiedliwie i pamiętały, jaką wartość dla państwa ma naród ruski i jakie konsekwencye spowadzić musi to nowe pogwałcenie praw Rusinów, w takim razie ze 102 mandatów galicyjskich oddanoby Rusinom 51. Atoli Rusinom z 27 mandatów jeszcze ośm odebrano i ułożono nowy podział okręgów wyborczych, w których ma być Rusinom zapewnionych 27 mandatów; każdy jednak, kto zna administracyę galicyjską wie, że podział ten wypadnie w rzeczywistości na niekorzyść Rusinów.

Mówca kończy oświadczeniem, że gdyby Koło polskie faktycznie wniosek Głąbińskiego chciało przeprowadzić, powinno było użyć wszelkich innych środków, aniżeli występować w komisyi poniekąd w ostatniej chwili ze swemi żądaniami. Koło polskie tym wnioskiem pozwoliło sobie tylko na żart kosztem Rusinów. Mimoto mówca traktować będzie ów wniosek poważnie i oświadcza, że będzie za nim głosował, ale zastrzega się jeszcze raz stanowczo przeciw uzasadnieniu tego wniosku przez Głąbińskiego.

Pos. Gross, ze względu na postawiony przez Głąbińskiego wniosek co do podwyższenia liczby mandatów dla Galicyi, wskazuje na to, że w pierwotnem przedłożeniu Gautscha, które było dla Niemców korzystniejsze, dano Galicyi tylko 88 mandatów. Podczas pertraktacyj, które Gautsch w ostatnim czasie swego urzędowania prowadził ze stronnictwami, a z pewnością i z Polakami, zaproponowano dla Galicyi 98 mandatów. Ale ta liczba była dla panów z Galicyi za małą, i to było prawdopodobnie głównym powodem upadku ministerstwa Gautscha. Gabinet Hohenlohego uczynił Galicyi dalszy prezent w postaci nowych 4 mandatów, tak, iż liczba mandatów doszła do 102. Niezadowoleni tem, domagają się ci panowie 110 mandatów dla Galicyi. Jeżeli wszystkie kraje, a przedewszystkiem Niemcy domagać się będą podobnego podwyższenia cyfry mandatów, to i 600 mandatów byłoby prawdopodobnie jeszcze za mało. Przez to sukcesywne pomnażanie mandatów stosunek Niemców i Słowian obrócił się na niekorzyść Niemców, którzy w interesie przyjścia do skutku reformy wyborczej ograniczyli się w żądaniu mandatów niemieckich i gotowi są przyjąć stosunek dla nich niezupełnie pomyślny. Na dalsze podwyższenie liczby mandatów galicyjskich mówca pod żadnym względem zgodzić się nie może.

Poseł Starzyński oświadcza, że zupełnie niesłusznem jest twierdzenie, jakoby Koło polskie dopiero teraz ujęło się z Rusinami. Kto zna historyę Koła polskiego i Sejmu galicyjskiego, ten wie, że sprawa zupełnie inaczej się przedstawia. W swoim czasie prezes Koła polskiego, Dzieduszycki, kiedy w październiku po raz pierwszy w Izbie dyskutowano nad powszechnem prawem wyborczem, zupełnie otwarcie oświadczył, iż Koło polskie tylko wtenczas może wystąpić za powszechnem prawem wyborczem, jeśli Galicya otrzyma tyle mandatów, ile temu krajowi według liczby mieszkańców obu narodowości przysługuje. Prezes Koła polskiego więc już wówczas wyraźnie w interesie obu narodowości przemawiał. W Sejmie galicyjskim Rusini zawsze traktowani byli jako samodzielny naród, a narodowe i kulturalne potrzeby narodu ruskiego były zaspokajane. Jeżeli prawie co roku zakłada się jedno ruskie gimnazyum, jeśli postanawia się, że do galicyjskiej Rady szkolnej krajowej należeć musi odpowiednia liczba członków ruskiej narodowości, to w tem leży bezwarunkowe uznanie narodowej egzystencyi Rusinów. Jeśli poseł Wassilko mówił o krzywdzie, wyrządzonej Rusinom, która ma na tem polegać, że Rusinom przyznano tylko 27 mandatów, to moment dla tego twierdzenia wcale nie jest szczęśliwie wybrany, gdyż w chwili, kiedy zastępcy ruscy z obecnej liczby mandatów podnieść się mają na tę, którą projektowano w przedłożeniu, bardzo nieprawdopodobnem będzie się wydawało, iż w tem polegała ciężka krzywda i wielka niesprawiedliwość wobec Rusinów. Jeżeli poseł Wassilko twierdził, że Rusini otrzymają nie 27 mandatów, lecz o wiele mniej, nie wiem, na jakich faktach, lub na jakich ustawowych przepisach skonstruował to przypuszczenie, gdyż według podziału na okręgi, przez rząd przedłożonego, będzie ustanowionych 27 okręgów wyborczych ruskich.

P. Wassilko mylnie twierdzi, że Polacy z projektem Gautscha dlatego nie sympatyzowali, gdyż ten zaproponował za wiele mandatów dla Rusinów. Koło polskie reformę wyborczą Gautscha zwalczało dlatego, ponieważ przedłożenie to dawało Polakom zamało mandatów. Polakom należało się przynajmniej 83 mandatów, aby im dzisiejszy stan posiadania był zapewniony, podczas gdy przedłożenie Gautscha dawało im tylko 61. Z 27 ruskich mandatów Koło polskie żadnego nie chciało odebrać. Mandaty te pozostały Rusinom i Koło polskie zgodziło się na nie od pierwszej chwili; ale domagano się również, aby ogólna liczba mandatów galicyjskich została tak powiększoną, aby narodowy stan posiadania Polaków nie został zmniejszony.

Przez wywody p. Wassilki jak czerwona nić przebija się twierdzenie, że właściwie jest to żart ze strony Polaków na koszt Rusinów, jeśli proponuje się pomnożenie mandatów, i że Polacy sami tego żądania na seryo nie biorą. Mówca musi się wobec tego kategorycznie zastrzedz, aby rzeczowe w tej sprawie uzasadnienie, miało być uważane jak gdyby nie na seryo traktowane. Nie chcę równą monetą odpłacać posłowi Wassilce, muszę jednak zauważyć, że kto domaga się poważnego traktowania swoich wywodów, nie powinien powątpiewać o powadze innych mówców. Po wywodach Wassilki, które dotyczyły wrzekomych strasznych zajść przy wyborach w Galicyi, możnaby sądzić, że posłowie galicyjscy albo są mianowani przez rząd, albo oktrojowani przez Polaków. Gdyby Izba posłów nie miała prawa wglądania w wybory, mógłbym twierdzeniu p. Wassilki przeciwstawić tylko twierdzenie, że nie odpowiada to faktom, lecz mogę powołać się na to, że Izba sama bada ważność wszystkich wyborów według oryginalnych aktów. Prosiłbym, aby p. Wassilko wymienił choć jeden wypadek unieważnienia przez Izbę wyboru z jakiegokolwiek powodu, lub też z powodu, że straszne rzeczy przy wyborze się odegrały. Mówca nie zna ani jednego takiego wypadku.

Na tem obrady przerwano.

## Delegacye.

**Wiedeń.** Komisya budżetowa delegacyi austryackiej w ciągu dalszym dyskutowała nad extraordynaryum wojskowem. Dr. Kozłowski wystosował do ministra wojny pytanie: 1. Jakiem będzie przyszłe ukształtowanie się budżetu wojskowego zwyczajnego i nadzwyczajnego i kiedy kredyt 400.000.000 koron zostanie wyczerpany? 2. O ile twierdze austryackie wymagają przekształcenia? 3. Czy wydatki wspomniane pomieszczą się w kredycie 67.000.000 koron bez szkody dla zapasów broni?

Minister wojny generał Pitreich dał wyjaśnienia co do wydanych dotychczas kredytów. Kontyngent wojskowy w Austro-Węgrzech pozostał od r. 1869 w wysokości 2·8 prc. ludności, podczas gdy w Niemczech wzrósł do 4·8 prc., we Francyi do 5·4 prc., a z zaprowadzeniem dwuletniej służby wojskowej wzrośnie do 8 prc. Tak samo budżet wojenny w Austro-Węgrzech jest niższy, niż we Włoszech, we Francyi, Niemczech i Rosyi. Dalej minister przedstawił powody kredytu 400.000.000 i zwrócił uwagę, że w ciągu dwóch lat, zwłaszcza w extraordynaryum, zarząd wojskowy będzie musiał przyjść z nowemi żądaniami, np. na karabiny maszynowe, lub na ulżenie uzbrojenia. Na drugie pytanie minister oświadczył, że sprawa budowy twierdz jest załatwiona. Odpowiedź zaś na trzecie pytanie jest już zawarta w pytaniu pierwszem.

Następnie komisya budżetowa delegacyi austryackiej przyjęła budżet wspólnego ministerstwa skarbu i rezolucyę, domagającą się, aby wspólny rząd użył całego swego wpływu w tym kierunku, aby archiwum nadworne, ze względu na ogólny interes naukowy i historyczny, pozostało nadal nierozdzielne.

## Wypadki w Rosyi.

**Petersburg.** Na posiedzeniu dumy w dalszym ciągu dyskusyi nad oświadczeniem ministrów, poseł Ramiszewski, socyalista z Kaukazu, oświadczył się przeciw stawianiu interpelacyi w sprawie zbrodni czynowników, gdyż rząd ciągle popełnia bezprawia, a ministrowi spraw wewnętrznych podlega wszystko, nie wyjmując kościoła i szkoły. Minister ten oświadczył, że nie da się odstraszyć od spełnienia swego obowiązku krzykiem w tej sali. Ale wrogie dla ministra stanowisko dumy nie jest jeszcze odzwierciedleniem usposobienia kraju, który jeszcze o wiele bardziej jest wzburzony.

Poseł Aładin odczytał artykuł londyńskiego *Timesa*, w którym jest powiedzianem, że minister spraw wewnętrznych w rozmowie z korespondentem owego pisma ośmielił się zarzucić dumie, że jest zgromadzeniem rewolucyjnem. Ale tragedya białostocka zrewolucyonizowała uczucia Europy i nawet *Times*, owo tak przyjaźne dla rządu pismo angielskie, zamieściło z tego powodu bardzo gwałtowny artykuł przeciw rządowi. Mówca twierdzi, że rozruchy wśród żołnierzy muszą wpłynąć na spadek papierów rosyjskich za granicą.

Poseł Kowalewski omawiał również sprawę rozruchów i wpływ na nie biurokracyi. Sam Witte, po ustąpieniu, oświadczył, że był wobec niej bezsilny.

**Sebastopol.** Dnia 19 bm. pierwsza kompania artyleryi fortecznej otrzymała rozkaz udania się na wartę. Inne kompanie tego batalionu nie dopuściły do wykonania tego rozkazu i zabrały żołnierzom karabiny. Batalion rozbrojono. Dnia 20 wysłano go na północne wybrzeże. Tam wtargnęli zbuntowani żołnierze do kwatery drugiego batalionu, zniszczyli magazyn broni, zabrali karabiny i amunicyę, zostali jednakże przez wojsko otoczeni i w nocy z 20 na 21 bm. bez oporu internowani w koszarach. Później znaleziono kilka nabitych dział, skierowanych na miasto. Wielu mieszkańców ogarnęła z tego powodu panika; zaczęto uciekać z miasta. Wkrótce jednak nastąpił spokój; dalszych komplikacyj nie należy się obawiać.

**Moskwa.** Żołnierze tutejszego garnizonu odbyli zgromadzenie, na którem oświadczyli się za spokojnem zachowaniem się, jeżeli rząd nie zastosuje represalij i nie rozpędzi Dumy.

**Krasnojarsk.** Wśród strzelców przyszło do buntu z powodu aresztowania pewnego żołnierza, który zranił pijanego pułkownika. Podczas zaburzeń zabito jednego kapitana sztabowego.

**Petersburg.** Poseł Szczepkin, który powrócił z Białegostoku, opowiada, że rzezie zorganizowali urzędnicy policyjni. Sygnałem do ich wybuchu była eksplozya petardy. Gubernator zachowywał się zupełnie biernie. Kiedy żydzi w obronie własnego życia poczęli strzelać, wojsko dało do nich salwy jako do rewolucyonistów.

**Petersburg.** Ajencya ponownie jest zmuszona zaprzeczyć wiadomości o buncie garnizonu w Kronstadzie.

**Kamieniec Podolski.** We wtorek w miasteczku Janowie, w gub. podolskiej, przed dom zamożnego kupca Blecheima zajechała banda opryszków z 7 czy 8 osób; uzbrojeni byli w rewolwery. Były między nimi dwie kobiety również uzbrojone. Zbrodniarze zamordowali kupca, jego żonę, 18-letnią córkę, mężnie stawającą w obronie rodziców, i dwóch małoletnich synków. Jedno z dzieci schroniło się pod łóżko i ocalało. Łup stanowiło 20.000 gotówką i w kosztownościach. Po szeregu wystrzałów zbrodniarze się oddalili.

Wkrótce potem mieszkańcy rozpoczęli na furmankach pogoń. Bandyci, dopędzeni w lesie, w pobliżu Kalinówki, pomimo gęstych wystrzałów i uporczywej obrony, musieli uledz przeważającej sile. Wtedy to mieszkańcy Janowa rozpoczęli okrutny sąd doraźny nad opryszkami, bez względu na obecność policyi, która z trudnością zdołała ledwie żywych zbrodniarzy wyrwać z rąk tłumu i odwieźć do pobliskiego aresztu.

Nazajutrz w miasteczku Janowie znaleziono na strychu jednego z domów jeszcze jednego bandytę. Zebrał się szybko tłum z tysiąca co najmniej ludzi, żydów i chłopów. Opryszka, ściągniętego ze strychu, katowano, okładano kłonicami, drągami itp., i to, pomimo obecności żandarma i policyantów, których rozbrojono i odpędzono. Zbrodniarzowi pękła pod razami czaszka i mózg począł się sączyć. Bandyta upadł i skonał.

Tłum wykrzykiwał, że obecne sądy są zbyt pobłażliwe i nie można im powierzać karania zbrodni.

Wieczorem schwytano ojca zabitego opryszka, skrępowano go powrozami i zamknięto na noc w chlewku. Nazajutrz rano zlinczowano go.

Tłum zaczął następnie robić poszukiwania w celu odnalezienia matki zbrodniarza, dotąd jednak jej nie znaleziono.

## Z izby sądowej.

**Przemyśl**, 21 czerwca.

(*Wymuszenie i oszczerstwo*).

Przesłuchani w dalszym ciągu świadkowie: Pomorski, Dama, Klinghoffer, Fleischer, Jemech, Wolański, J. Jaworski i Kammermann zeznawali obciążająco dla dr. Zadereckiego. Opowiadali szczegółowo o pertraktacyach jego z Kornhaberem, o antecedencyach, poprzedzających wnoszenie doniesień, które miały nabawić strachu Kornhabera i nakłonić go w konsekwencyi do tentowania ugody z obecnymi oskarżonymi.

Z wielu poczynionych mu zarzutów dr. Zaderecki nie umiał się wytłómaczyć.

Na zapytanie prokuratora, ile jest prawdy w pogłosce, że Kornhaber miał kiedyś przed laty oblać naftą chałupę Maryi Matkowskiej w Borysławiu i puścić ją z dymem, odpowiedział Kornhaber: Ależ, panie prokuratorze, ja byłem 20 lat wójtem w Borysławiu. Powiedz pan sam, czy będzie wójt podpalał chałupy? Czy to możebne?

Natomiast świadek Matkowska, której chałupę miał kiedyś podpalić Kornhaber, opowiada, że czynu tego dopuścił się chyba Kornhaber. Wieści w tym kierunku rozpowszechniane uważa za wiarygodne.

Po przesłuchaniu reszty świadków, postawiła obrona wniosek zmierzający do odroczenia rozprawy celem uzupełnienia śledztwa. Trybunał odmówił.

Po wywodach oskarżyciela publ., i zastępcy poszkodowanego, oraz obrońców, wydał trybunał wyrok skazujący Jaworskiego na 6 miesięcy, a Hirschhauta na 3 miesiące więzienia. Adwokat lwowski dr. Zaderecki i Wolny zostali uwolnieni.

# KRONIKA.

Lwów, 23 czerwca.

**Złożenie mandatu sejmowego.** Poseł Battaglia przesłał namiestnikowi, marszałkowi krajowemu, oraz burmistrzowi Biały następujące oświadczenie:

„Dokonane za moim współudziałem zbliżenie Niemców bialskich do Galicyi na polu ekonomicznem, szczególnie przemysłowem, jako poseł z Białej chciałem wziąć za podstawę do akcyi, któraby z czasem ułatwiła rozwikłanie spornych spraw narodowościowych dla dobra kraju i obu narodowości; albowiem nabrałem przekonania, że załatwienie sprawy bialskiej w danych warunkach w jakikolwiek inny sposób jest niemożliwe. Gdy jednak moje kroki w części fałszywie przedstawiono, a przebieg kampanii wyborczej wykazał, że intencyj moich nie zrozumiano, pracę na rzecz powyższego celu obecnie uczyniono mi niemożliwą. Wobec tego mandat sejmowy z Białej składam."

**Uroczystość poświęcenia** organów leżajskich, gruntownie przez p. Aleksandra Żebrowskiego odrestaurowanych, jako też próba tychże organów połączona z koncertem liturgicznym odbędzie się 25 czerwca w poniedziałek po południu.

**Z galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego.** Na zamknięcie roku szkolnego urządza Dyrekcya konserwatoryum koncert, w którym współdziałać będą celujący uczniowie lat najwyższych. Dochód z tego koncertu przeznaczyło Towarzystwo muzyczne na budowę pomnika Chopina we Lwowie. Koncert ten odbędzie się we środę 27. czerwca o 6-ej wieczorem, w sali Domu Narodnego.

**Temperatura** dnia 21 czerwca o godz. 7mej rane wynosiła: w Galicyi zachodniej +21, we Lwowie +19, w Tarnopolu +17, w Czerniowcach +13, w Wiedniu +20, w Salcburgu +15, w Gracu + 18, w Pradze +16, w Tryeście +23, w Abbazyi +24, w Raguzie +25, w Budapeszcie +22, w Berlinie +20, w Hamburgu +16, w Monachium +15, w Zurychu +16, w Genewie +17, w Lugano +21, w Anglii +16, w Paryżu +17, w Biarritz + 18, w Nizzy +25, w północnych Włoszech +22, we Florencyi +28, w Rzymie +20, w Neapolu +20, w Palermo + 22, w Madrycie +18, w Sztokholmie +21, w Petersburgu +17, w Wilnie +15, w Warszawie +18, w Moskwie + 13, w Kijowie +17, w Odessie +19, w Serajewie +17, w Belgradzie +19, w Bukareszcie +21, w Sofii +17, w Konstantynopolu +22, w Atenach +23. (Temperatura według Celsiusza).

Deszcze: w Alpach, w Czechach, w Niemczech, w północnych Włoszech i w Skandynawii. Pogoda: w Galicyi, na Węgrzech, we Francyi, w południowych Włoszech, w Rosyi i w Hiszpanii. Na Węgrzech i w Hiszpanii ogromne upały. Termometr przekracza 30 stopni Celsiusza.

**Ofiary.** Dr. Zygmunt Uranowicz, prof. gimn. w Złoczowie, nadesłał 2 K. na kościół polski na Kahlenbergu i 2 K. na dotkniętych wybuchem Wezuwiusza.

**Stan powietrza.** T. o g. 7 rano + 16 R. w poł. + 20 R. w cieniu, + 28 R. na słońcu, Bar. 764. Spada. Prześliczna pogoda.

**Dzielna obrona.**

— Moja siostra broniła pana wczoraj gorąco, gdy ojciec powiedział, że pan jest półgłówek.

— Tak? I cóż powiedziała?

— Że nie można każdego człowieka z pozorów sądzić.

**Myśli.**

Jedyna czynność, którą chętnie dzielimy z drugimi — to nuda.

Tygrysa na pół mili unikaj; lekarzy na milę; tak mówi przysłowie indyjskie.

Można śmiało być głupim, dopóki tego nie zauważą.

Bądź odważny i nie lękaj się wrogów, dopóki możesz uciec przed nimi.

## Widowiska i koncerty.

**Repertuar teatru lwowskiego.** Dziś: „Viceadmirał," operetka T. Zella i R. Genée'go. — W niedzielę „Pan Jowialski," komedya Al. hr. Fredry. W poniedziałek „Viceadmirał". We wtorek „Złote runo," dramat Przybyszewskiego. We środę „Pan Damazy," komedya J. Blizińskiego.

**Repertuar teatru krakowskiego.** W poniedziałek „Dyabeł Jasieński" A. Nowaczyńskiego. We wtorek „Rewizor z Petersburga" N. Gogola. We środę „Oj młody, młody" Al. hr. Fredry (syna). — We czwartek „Xiądz Marek" J. Słowackiego. — W piątek o 3-iej „Kościuszko pod „Racławicami" W. Lasoty, o 7-ej „Warszawianka" Wyspiańskiego i „Konfederaci Barscy" Mickiewicza. W sobotę „Wesele" Wyspiańskiego. W niedzielę „Halka," opera Moniuszki (lwowski teatr dyr. Hellera).

**Colosseum** Hermanów. Od 16 do 30 czerwca. Wielki balet „Babel" ze współudziałem 30 osób. — Gobson, człowiek chodzący na głowie. — Les 3 Harris, atletyczni żonglerzy. 9 sensacyjnych nowości. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 i 8.

# Literatura i sztuka.

* **A. Kuprin.** *„Pojedynek“.* Przekład z rosyjskiego. Nakładem księgarni Narodowej. Lwów. 1906. Str. 321.

Na krótko przed wybuchem wojny rosyjsko-japońskiej, wyszła w Rosyi niniejsza powieść p. A. Kuprina i wywołała ogromne wrażenie. Publiczność rozchwytywała ją sobie o wiele nawet może namiętniej niż mało co przedtem wydaną w Niemczech książkę Bilsego „Z małego garnizonu“, do której „Pojedynek“ Kuprina stanowi pewnego rodzaju *pendant*. Rosyanie zachwycali się w niej bogactwem obserwacyi, siłą charakterystyki, barwnością stylu, a najwięcej oczywiście negacyą tego wszystkiego, co Rosyę carską stanowi; a więc przedewszystkiem negacyą armii, tej głównej podpory tronu i systemu despotycznego. Wszystkie czarne barwy, jakie gdziekolwiek w garnizonach rosyjskich znalazł, autor zebrał na jeden punkt, i wykazał, że armia rosyjska to przeżytek, to szczątkowy organ dawnych dziejów, dzisiaj nie mający już innej racyi bytu, jak tylko być podporą tronu, że rosyjski korpus oficerski to zbiorowisko pijaków, szulerów i głupców, prowadzących życie próżniacze, pastwiących się nad żołnierzami i w wszelki możliwy sposób okradający żołnierzy.

Książka o takiej tendencyi, do tego napisana z ogromnym talentem, wywołać oczywiście musiała w Rosyi szalone wrażenie, złożone z entuzyastycznego zachwytu z jednej strony, t. j. ze strony publiczności cywilnej, a z oburzenia z drugiej, t. j. ze strony władz wojskowych. Generalicya zażądała wytoczenia procesu autorowi, nastąpiły więc zwykłe utartym torem idące w Rosyi prześladowania. Kuprina osadzono w więzieniu, książkę skonfiskowano. To wywołało jeszcze większy zachwyt dla niej, a jeszcze większą miłość dla niego. Stał się męczennikiem, więc zarazem bohaterem narodu. Niebawem potem wybuchła wojna rosyjsko-japońska i w zupełności potwierdziła zdania Kuprina o armii rosyjskiej.

Owóż tę to książkę nieznany nam tłumacz przetłumaczył na język polski, a wydała ją istniejąca we Lwowie księgarnia Narodowa.

Fabuła powieści jest bardzo prosta, umyślnie jak najskromniejsza, snać autorowi zależało na tem, żeby nie odciągać bajką uwagi czytelnika, od tych spraw, które go przedewszystkiem zająć powinne były, i dla których autor książkę tę napisał.

Romaszow, skończywszy niedawno szkołę wojskową, wstąpił do armii czynnej w randze podporucznika.

Ma on intencye jak najszlachetniejsze. Rozumie, że wykształcenie jego nie stoi na wysokości zadania, więc chce pracować, zaprenumerował nawet parę pism poważnych, chce uczyć się języków, księgarni polecił przysłać sobie katalog najnowszych książek strategicznych i taktycznych, jakoteż politycznych, historycznych i społecznych, zamierza chodzić do kasyna wojskowego tyle tylko ile potrzeba: na obiady i kolacye, a cały czas zresztą spędzać w domu na studyach. Oczywiście z tych pięknych zamiarów nie urzeczywistnia się ani jeden; próżniacze i pijackie życie jego kolegów oficerów zaraża i jego duszę, więc też po całych dniach nic nie robi, tylko lampartuje się jak inni, uprawia romansiki dość trywialne, pije z każdym dniem coraz więcej, a równocześnie spada moralnie i umysłowo coraz niżej. Po kilku miesiącach nie różni się zupełnie od swoich kolegów oficerów, a jacy są oni, objaśnia nas autor w następującym ustępie:

„Z wyjątkiem kilku ambitnych karyerowiczów, wszyscy oficerowie spełniali służbę jako konieczną, nieprzyjemną i uprzykrzoną pańszczyznę, męcząc się nią i nie lubiąc jej. Niżsi oficerowie zupełnie po uczniowsku spóźniali się na zajęcia i uciekali od nich, jeśli tylko wiedzieli, że nic im się za to nie oberwie. Kapitanowie, ludzie po większej części obarczeni liczną rodziną, zatopieni w domowych przykrościach i romansach swych żon, przygnębieni okrutną biedą i życiem nad stan, stękali pod brzemieniem nadmiernych wydatków i weksli. Kładli oni łatę na łacie, łapiąc pieniądze w jednem miejscu, na to, by zepchnąć dług w drugiem; wielu z nich decydowało się — najczęściej na naleganie swych żon, — pożyczać pieniądze z kasy pułkowej, lub z opłat należnych żołnierzom za różne postronne roboty, inni miesiącami i latami przetrzymywali pieniężne listy żołnierzy, które podług ustawy otwierać mogli. Niektórzy żyli tylko z winta, sztosa i lancknechta; nie jeden grał fałszywie — wiedziano o tem, lecz — patrzono przez palce. Przytem wszyscy dużo pili: zarówno w kasynie jak i między sobą przy odwiedzinach, jeszcze inni nawet sam na sam.

Takim sposobem oficerowie nawet czasu nie mieli, żeby poważnie traktować swoje obowiązki. Zazwyczaj cały wewnętrzny mechanizm kompanii regulował i wprowadzał w ruch feldfebel, on także prowadził kancelaryjne obrachunki i niewidocznie, lecz silnie trzymał kapitana w swych żelaznych, doświadczonych rękach.

Kapitanowie szli na służbę z takimże wstrętem, jak i podwładni oficerowie, a jeżeli „musztrowali chorążych“, czynili to dla zachowania swej powagi, rzadziej zaś z chęci pokazania swego prawa.

Komendanci batalionów zupełnie nic nie robili, zwłaszcza zimą. Są w armii dwie takie pośrednie rangi — komendanta batalionu i brygady: naczelnicy ci zawsze znajdują się w najbardziej nieokreślonem i bezczynnem położeniu. Latem jednak musieli zajmować się ćwiczeniami batalionu, brać udział w zajęciach pułkowych i dywizyjnych i ponosić trudy manewrów. Ale w swobodny czas siedzieli w kasynie, gorliwie czytywali *Inwalida*, debatowali o awansach, grali w karty, pozwalali się chętnie niższym oficerom ugaszczać, urządzali u siebie wieczorki i starali się wydawać zamąż swe liczne córki. Jednak do większych rewii wszyscy od wielkiego do małego szykowali się i zachęcali wzajemnie do ćwiczeń. Wtedy już nie wiedziano co to odpoczynek i starano się większą ilością godzin zajęcia i wzmożoną, choć bezmyślną energią, wynagrodzić to, co było zaniedbane. Z siłami żołnierzy nie liczono się, doprowadzano ludzi do wycieńczenia. Kapitanowie srodze męczyli niższych oficerów, niżsi oficerowie szkaradnie i niemożliwie wymyślali podoficerom, podoficerowie zaś chrypli od łajania i okrutnie bili żołnierzy. Zresztą bili nie tylko podoficerowie. Dnie takie bywały prawdziwą męką, i o świątecznym odpoczynku, o kilku godzinach snu, marzył jak o niebiańskiem szczęściu cały pułk, zacząwszy od komendanta, aż do ostatniego, obszarpanego sługi oficerskiego“.

A w innem znów miejscu charakteryzuje autor wartość oficerów anegdotą następującą: oto pewien idealny strategik nosił ze sobą woreczek ze złotem, i chodził po rozmaitych kasynach oficerskich, gdzie się przysłuchiwał rozmowom oficerów. W myśli postanowił on był sobie, że woreczek ten daruje temu z oficerów, który bodaj jedno rozsądne słowo powie. I cóż?

Oto sto dziewięćdziesiąt lat chodził po kasynach, i nie miał sposobności oddać swego woreczka.

Nie lepsi byli wyżsi oficerowie: jenerałowie i dygnitarze wojskowi. Autor opowiada naprzykład o jakimś jenerale Fafanowie, który był bardzo gościnnym i chętnie dawał u siebie recepcye dla oficerów, lubił jednak kłaść się regularnie spać o 11-tej. Więc kiedy już zbliżała się ta godzina, mówił do rozochoconych oficerów:

— No, panowie, jedźcie, pijcie i weselcie się, a ja idę w objęcia Neptuna!

— Morfeusza — ktoś podpowiada.

Na to jenerał Fafanow:

— Morfeusza, czy Neptuna, wszystko jedno — z jednej mineralogii!

W takiem towarzystwie spada Romaszow coraz niżej. Pewnego wieczora, w gronie hulaszczej bandy oficerskiej, dochodzi do pijackiego szału i daje w twarz oficerowi Nikołajewowi, z którego żoną utrzymuje romansik. Nikołajew rzuca się na niego, porywają się za bary i zaczynają tarzać się po podłodze kasyna, wreszcie inni oficerowie rozdzielają ich, a nazajutrz sąd oficerski nakazuje Romaszowowi i Nikołajewowi żeby się pojedynkowali. Przez dziwną asocyacyę wyobrażeń Romaszow, przerażony tym przymusem pojedynkowym, idzie do oficera Nazańskiego, który był przed nim w łaskach u pani Nikołajewowej. Pan Nazański jest pijakiem skończonym i dochodzi nieraz już do białej gorączki. W chwili, gdy przyszedł do niego Romaszow, nietylko odzyskuje zupełną przytomność umysłu, ale nawet zdobywa się na wypowiedzenie wszystkich poglądów autora o tem, czem jest armia, jaki jej pożytek na świecie, czem jest życie, czem szczęście etc. Pyta on Romaszowa, czy się boi tego pojedynku, a kiedy Romaszow go zapewnia, że się nie boi, natenczas nakłania go, aby zrobił jeszcze jeden krok wyżej na polu odwagi i odmówił przyjęcia pojedynku. Romaszow na to reflektuje go, że tego uczynić nie może, bo przecie Nikołajew dał mu także w twarz.

To cóż tak wielkiego, odpowiada Nazański? Wspomnienie tego faktu minie i zapomnisz o nim, tak, jak się zapomina o wszystkich bolesnych i przykrych zdarzeniach. Ale jeżeli zabijesz Nikołajewa, to o tem nigdy nie zapomnisz.

I tu zaczyna Nazański wywodzić swoją filozofię, a raczej filozofię autora, a raczej jeszcze filozofię tysięcy wykształconych Moskali i dlatego ją tu dosłownie powtórzymy.

— „A popatrzcie, popatrzcie tylko, jak pięknem, jak ponętnem jest życie! — zawołał Nazański, szeroko rozpościerając ręce naokoło. — O radości, o boska piękności życia! Patrzcie: niebo błękitne, wieczorne słońce, cicha woda — toż drżysz od zachwytu, gdy patrzysz na to — ot tam daleko śmigają skrzydła wiatraków, ściele się miękka trawka, woda u brzegów — różowa, różowa od zachodzącego słońca. Ach, jak to wszystko cudne, tkliwe, szczęśliwe! — Nazański nagle rękami zasłonił oczy i rozpłakał się, ale natychmiast znów opanował się i począł mówić nie wstydząc się swych łez i patrząc na Romaszowa wilgotnemi, błyszczącemi oczami.

— Nie, gdybym wpadł pod pociąg, który przerznąłby mi brzuch tak, że wnętrzności moje zmięszałyby się z piaskiem i obmotały około kół, i gdyby wtedy jeszcze zapytał mnie kto: „czy i teraz życie piękne?“ — odpowiem z wdzięcznym zachwytem: „ach, i jakie piękne!“ Ileż radości daje nam samo tylko patrzenie. A pozostaje jeszcze muzyka, woń kwiatów, słodka miłość niewieścia. I najważniejsze: jest jeszcze bezgraniczna rozkosz — złote słońce życia — myśl ludzka! Drogi mój Jerzy! Wybaczcie, że was tak po imieniu nazwałem. — Nazański, jakby dla przeproszenia, wyciągnął do niego drżącą rękę. — Przypuśćmy, że zamknęli was w więzieniu na wieczne czasy i wy całe życie będziecie tylko przez szparkę patrzyli na dwie zmurszałe cegiełki... Nie, przypuśćmy, że w waszem więzieniu nie będzie ani jednej iskierki światła, ani dźwięku żadnego — nic. A jednak czy i to porównać można z potworną okropnością śmierci? Pozostaje wam myśl, wyobraźnia, pamięć, twórczość — a i z tem przecie żyć można. I możecie nawet mieć jeszcze minuty zachwytu z radości życia.

— Tak, życie jest cudne — rzekł Romaszow.

— Cudne! — z zapałem powtórzył Nazański. — I ot, dwóch ludzi, dlatego, że jeden uderzył drugiego, albo pocałował jego żonę, albo przechodząc mimo niego, podkręcając wąsy, niedosyć uprzejmie spojrzał na niego — ci dwaj ludzie strzelają do siebie, zabijają jeden drugiego. Ach, nie, ich rany, ich cierpienia, ich śmierć — wszystko to niech dyabli biorą! Ale czyż *siebie* zabija ta nędzna poruszająca się bryła, zwana człowiekiem? On zabija słońce, ciepłe, miłe słońce, jasne niebo, przyrodę — całe różnorodne piękno życia, zabija najwyższą rozkosz i dumę — ludzką myśl! Zabija to, co już nigdy, nigdy, nigdy nie powróci. Ach głupcy, głupcy!

Nazański smutno, z głębokiem westchnieniem pokiwał głową i w dół ją opuścił.

— Cóż mam zrobić? — ponuro i gburowato zapytał Romaszow. Jeżeli się nie będę pojedynkował, będę musiał kwitować z wojska. A wtedy czem na życie zarobię? Przecież ja nic nie umiem.

Nazański uśmiechnął się łagodnie i tkliwie.

— Poczekajcie Romaszow. Patrzcie mi w oczy. Ot tak. Nie, nie odwracajcie się, lecz patrzcie prosto i odpowiedzcie mi sumiennie. Czyż wy, służąc w wojsku, wierzycie w to, że służycie rozumnej, dobrej, pożytecznej sprawie? Ja znam was dobrze, lepiej niż wszystkich innych, i rozumiem waszą duszę. Przecież wy zupełnie w to nie wierzycie.

— Nie — odrzekł Romaszow stanowczo. — Lecz gdzież pójdę?

— Poczekajcie, nie śpieszcie się. Przyjrzyjcie się naszym oficerom. O, nie mówię o gwardzistach, którzy tańcują na balach, mówią po francusku i żyją na utrzymaniu swych rodziców, lub swych ślubnych żon.

— Nie, pomyślcie o nas nieszczęsnych, o liniowej piechocie, o tem jądrze sławnego, walecznego rosyjskiego wojska. Przecież to wszystko leniuchy, oberwańcy, wyrzutki. W większości są to bojący się zbytniej mądrości gimnaziści, realiści, nie zdolni kończyć kursów seminaryści. Dam wam przykład na naszym pułku. Kto u nas długo i porządnie służy. Biedacy obarczeni rodzinami, nędzarze gotowi na wszelkie ustępstwo, na wszelkie okrucieństwo, nawet na zabójstwo, na kradzież żołnierskich groszy — a wszystko to dla łyżki strawy. Rozkazują mu strzelać, i on strzela — do kogo? za co? może niepotrzebnie? — jemu wszystko jedno — on nie rozumuje. On wie, że u niego w domu piszczą zamorusane rachityczne dzieci, i on bezmyślnie, jak dzięcioł, wytrzeszczywszy oczy, kuje jedno słowo „przysięga“. Kto tylko jest bardziej utalentowany, zdolniejszy — zapija się. U nas siedmdziesiąt pięć procent oficerów dotkniętych jest syfilisem. Jeden szczęśliwy wybraniec — i to raz na pięć lat dostaje się do akademii i temu towarzyszy ogólna nienawiść. Umiejący przypochlebiać się i mający protekcye, niezmiennie wstępują do żandarmeryi lub marzą o posadzie komisarza policyi w dużem mieście. Szlachta i ci, co rozporządzają choć maleńkim majątkiem, zostają ziemskimi naczelnikami. Przypuszczam, że są jeszcze i inni; ludzie delikatni, z sercem, cóż ci robią? Dla nich służba — to ustawiczny wstręt, pęta, znienawidzone jarzmo. Każdy z nich stara się wynaleźć sobie jakieś poboczne zajęcie, któreby go całkowicie pochłaniało. Jeden zajmuje się kolekcyonowaniem, wielu doczekać się nie może wieczoru, żeby można w domu usiąść przy lampie, wziąć igłę i wyszywać na kanwie krzyżykami jaki niepotrzebny mizerny dywanik; albo piłeczką wypiłowywać ramkę do własnej fotografii. Podczas musztry marzą o tych wieczornych zajęciach, jak o tajemnej, błogiej radości. O kartach, o chełpliwym sporcie podbijania serc niewieścich — o tem już nie wspominam. A najbezecniejsza owa służbowa ambicya, niska, okrutna ambicya. Taki tyran kapitan, wybijający oczy i zęby swoim żołnierzom. Wiecie, przy mnie Arczakowski tak bił swego dieńszczyka, że ledwie gwałtem wyrwałem go z jego rąk. Krew była nie tylko na ścianach, ale i na suficie. A chcecie wiedzieć jak się to skończyło? Tem, że dieńszczyk poleciał na skargę do kapitana, kapitan odesłał go do feldfebla, a feldfebel bił go jeszcze pół godziny po sinej, zapuchłej, zakrwawionej twarzy. Ten żołnierz jeszcze dwa razy podawał skargę w czasie inspekcyjnego przeglądu, wszystko bez rezultatu.

Nazański umilkł i zaczął nerwowo rozcierać sobie dłońmi skronie.

— Czekajcie... Ach jak myśli biegną... — rzekł on z niepokojem. — Jak to źle, gdy nie ty kierujesz myślą, lecz ona — tobą... Tak, przypomniałem sobie! Teraz dalej. Popatrzcie na pozostałych oficerów. No ot wam naprzykład sztabskapitan Pławski. Żywi się dyabli wiedzą czem — sam gotuje sobie jakieś paskudztwo na benzynie, chodzi prawie w łachmanach, lecz ze swej 48-rublowej pensyi odkłada co miesiąc 25. Oho-ho! Ma już w banku około dwóch tysięcy i potajemnie pożycza kolegom na wysokie procenta. Myślicie, że robi to przez wrodzone skąpstwo? Nie, bynajmniej, to tylko sposób przygotowania sobie ucieczki z wojska, ukrycia się przed ciężką, niepojętą niedorzecznością wojskowej służby. Kapitan Stełkowski, rozmowny, silny, śmiały człowiek. A co stanowi treść jego życia? Prowadzi na drogę rozpusty niedoświadczone wiejskie dziewczęta. Nakoniec weźmy podpułkownika Brehma. Miły, dobry dziwak, najlepsza dusza — doskonałość — i ot on cały pochłonięty troską o swój zwierzyniec. Co go obchodzi służba, parady, chorągwie, nagany, cześć? Drobne to, niepotrzebne szczegóły życia.

— Brehm — zacny, lubię go — wtrącił Romaszow.

— Tak, naturalnie, miły — przytwierdził niechętnie Nazański. — A wiecie, co mi się zdarzyło widzieć pewnego razu na manewrach? Po nocnym pochodzie szliśmy do ataku. Zdenerwowani byliśmy, zmęczeni, nóg nie czuliśmy wszyscy — i oficerowie i żołnierze. Brehm każe trębaczowi zatrąbić do ataku, a ten, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, trąbi do apelu rezerwy. Raz, drugi i trzeci. I nagle tenże sam miły, dobry, zacny Brehm przyskakuje konno do trębacza, trzymającego trąbkę w ustach i z całej siły trach pięścią po trąbie. Tak. I sam widziałem jak trębacz, wraz z krwią, wypluł na ziemię roskruszone zęby.

— Ach, Boże mój — ze wstrętem jęknął Romaszów.

— Ot, tacy oni wszyscy, nawet najlepsi, najdelikatniejsi z nich, doskonali ojcowie i mężowie — wszyscy oni na służbie robią się nędznemi, złemi, tchórzliwemi, głupiemi zwierzątkami. Zapytacie dlaczego? Dlatego właśnie, że nikt z nich nie wierzy w służbę wojskową i rozumnego celu tej służby nie widzi. Wiecie przecież jak dzieci lubią się bawić w wojnę. Był czas wrzącego dziecięctwa i były w historyi czasy bujnego, wesołego, młodego pokolenia. Ludzie chodzili wtedy wolnemi szajkami, wojna była ogólnem, radosnem upojeniem, krwawą dzielną uciechą. Na dowódcę wybierano najwaleczniejszego, najsilniejszego, najprzebieglejszego i władza jego, aż do chwili, gdy zabijali go podwładni, była uznawaną przez wszystkich szczerze jak władza boska. Ale oto ludzkość wyrosła i z każdym rokiem staje się mądrzejszą, minął czas szumnych dziecinnych igraszek, myśli ludzkości stają się coraz poważniejsze i głębsze. Nieustraszeni awanturnicy zamieniają się w szulerów. Żołnierz nie idzie już do służby wojskowej, jak do wesołego dzikiego rzemiosła. Nie, za kark wloką go na arkanie, on opiera się, przeklina, płacze. I dowódcy z groźnych, pełnych uroku, ubóstwianych atamanów, przekształcili się na urzędników, tchórzliwie żyjących ze swych nędznych pensyi. Ich waleczność — wodnista waleczność. I wojskowa dyscyplina — dyscyplina za odpowiedzialność — styka się z obopólną nienawiścią. Piękne bażanty utraciły pióra“.

Niezaprzeczenie jest to błędem ze strony autora, że filozofię polityczną i historyozofię całego młodego a wykształconego pokolenia Rosyan, włożył w usta pijaka. A może uczynił on to z myślą; chciał mianowicie zaznaczyć owo mniemanie Rosyan, że tylko człowiek stale i systematycznie podniecany alkoholem dochodzi w końcu do prawdy filozoficznej. Przecież bez liku słyszy się, jeżdżąc po Rosyi, anegdot, to o lekarzu, który tylko wtedy doskonale leczył, gdy był zupełnie pijany, to o inżynierze, który tylko wtedy dobre plany robił, gdy miał porządnie w czubku; to o wodzu, który musiał upić się jak bela, żeby wygrać bitwę.

Ten fakt, że nawet tak trzeźwo na sprawę patrzący autor, jak Kuprin, nie może się uwolnić od przesądów swojego otoczenia o pijakach, świadczy, jak dalece wszyscy ludzie są zawsze synami swojej epoki i swojego narodu.

Bądź co bądź poglądy Nazańskiego stały się wkrótce ewangelią wśród korpusu oficerskiego w Rosyi i przyczyniły się niezawodnie bardzo do tego, że tylu oficerów złamało przysięgę wojskową w ostatnich paru latach i młode swe życie poświęciło na ołtarzu niepowodzeń rewolucyjnych.

Wróćmy jednak do fabuły powieści. Romaszow pod wpływem argumentów Nazańskiego, postanawia nie stanąć do pojedynku. Ba! ale takie rozwiązanie sprawy zwichnęłoby karyerę Nikołajewa, więc pani Nikołajewowa udaje się do mieszkania Romaszowa późno wieczorem i pieszczotami i pocałunkami zniewala go do tego, że staje do pojedynku i przyrzeka jej, iż w męża jej celować nie będzie.

Przyjeżdżają na plac boju, na dany znak sekundantów stają naprzeciw siebie w odmierzonej odległości, następuje komenda, Nikołajew strzela i trafia Romaszowa w brzuch. Romaszow nie miał już siły, żeby strzelić choćby nawet w powietrze. Miano go odwieść do szpitalu, ale on w parę minut potem skonał.

Należy się niezaprzeczenie uznanie temu nieznanemu tłumaczowi, który podjął się przyswoić naszej literaturze tę książkę i tej księgarni, która ją wydała, bo dobrą i pożyteczną jest rzeczą poznać utalentowanych pisarzy obcych narodów, ale zaznaczyć musimy, że tłumaczenie nie jest dobre. Pełno w niem błędów językowych, pełno rusycyzmów, pełno karygodnych lekkomyślności. I tak naprzykład: Pułkownik Szulgowicz odbywa przegląd pułku i oburzony jest, że żołnierze stoją brzydko, musztrują się niedbale, nie umieją odpowiadać z przepisanych formułek, w gniewie więc powiada do podporucznika Romaszowa: *U was charasso abuczajut liudiej* — co znaczy: „pięknie u was uczą żołnierzy“. Tymczasem w przekładzie czytamy (na stronicy 14 i 15), „Piękne widać obyczaje ludzi“.

Ten sam Szulgowicz, skończywszy przegląd pułku, woła do siebie kapitana Śliwę i robi mu wymówkę, że tak rozpuścił żołnierzy. Po rosyjsku powiada: *Podtiagiwajtie ich.* Tłumacz przetłumaczył na polskie: „podciągajcie ich“, co oczywiście nie ma żadnego po polsku znaczenia, a co trzeba było przetłumaczyć: „starannie ich musztrujcie“.

Panie, które wysiadały z wagonów, były ubrane „w niezwykłe *zręczne* kostyumy“ (stronica 19). Komendę rosyjską: *Aprawitsia*, przetłumaczono: „oprzytomnieć“, co jest formalną niedorzecznością. Kapitan nazywa się po rosyjsku *Rotnyj komandir*, ale tłumacz nie używa wyrazu „kapitan“, lecz mówi „rotny komendant“.

Przy następnem wydaniu należałoby koniecznie wszystkie te błędy poprawić.

# Część ekonomiczna.

**Wiedeń** 21 czerwca.

(Z). Z Londynu nadeszła dziś tak bardzo pożądana wiadomość, że dyrekcya banku angielskiego zdecydowała się nareszcie zniżyć swą stopę procentową o $^1/_2$%, tj. z 4 na $3^1/_2$%. stopa procentowa w Anglii ulega obecnie po raz trzeci zmianie w ciągu bieżącego roku. W dniu 5 kwietnia br. zniżono ją z 4 na $3^1/_2$%, wszelako już po czterech tygodniach podwyższono ją napowrót na 4%, aby zapobiedz odpływowi złota do Ameryki. Obecnie znów przywrócona zostaje stopa $3^1/_2$%. Wiadomość o tej uchwale dyrekcyi banku angielskiego wywarła na wszystkich giełdach doskonałe wrażenie, powszechnie bowiem spodziewają się, że i bank niemiecki pójdzie obecnie za przykładem banku angielskiego i zniży swoją stopę procentową z $4^1/_2$ na 4%.

Spadek walorów rosyjskich ustał dziś. Zwłaszcza akcye rosyjskich przedsiębiorstw przemysłowych, będące przedmiotem handlu na giełdzie paryskiej, jak akcye sosnowickie, tulskie, briańskie, podniosły się dziś znacznie w kursie, natomiast renta rosyjska tylko bardzo nieznacznie się podniosła.

Na giełdzie tutejszej podniosły się dziś niemal wszystkie akcye bankowe, znaczna część przemysłowych, z kolejowych zaś Statsbahny i Lombardy. Zwyżkę tych ostatnich motywowano tem, że przy trutynowaniu rachunków za marzec b. r. okazało się, że wykazane w prowizorycznym bilansie dochody kolei Południowej za ten miesiąc, prawie o milion większe od dochodów z marca 1905, są w rzeczywistości jeszcze o 600000 koron większe.

**Targ zbożowy.** (Sprawozdanie Syndykatu Towarzystw rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 22 czerwca 1906 roku.) — Dzisiejszy targ odbył się w usposobieniu spokojnem. Jedynie owies i pszenica znajdowały chętnych nabywców. Dowóz żyta silny przy słabej chęci kupna. Ceny innych artykułów nie uległy zmianie.

Sprzedawano: pszenicę białą od 8·75—9·10 kor., czerwoną od 8·60—8·95, żyto od 6·15—6·30, jęczmień od 7·30—7·70, owies od 8·00—8·80, groch zwykły od 8·35—9·75, groch „Victoria“ od 10·50—11·50, groch do siewu na paszę od 0·00—00·00, wykę nową od 8·00—9·00, bobik od 7·00—7·20, kukurudzę starą od 0·00—0·00, kukurudzę nową od 0·00—0·00, Cinquantino od 8·00—8·20, otręby pszenne od 5·00—5·10, otręby żytnie od 5·25—5·40, rzepak od 13·00—13·25. Wszystko za 50 kilogramów.

# TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

*(Depesze poranne).*

**Liberzec.** Cesarz, witany owacyjnie przez ogromne masy ludności, oglądał wczoraj wystawę. W powitaniu wzięli także udział burmistrze 64 miast niemieckich z Funkiem na czele.

**Trondhjem.** Wśród wielkiej uroczystości odbyła się wczoraj w tutejszej katedrze koronacya pary królewskiej.

**Waszyngton.** Senat przyjął wniosek tej treści, że naród Stanów Zjednoczonych oburzony wiadomościami o rzezi żydów w Rosyi, wyraża serdeczną sympatyę pamięci nieszczęśliwych ofiar i współczucia ich rodzinom.

*(Depesze popołudniowe).*

## Rada państwa i delegacye.

**Wiedeń.** Izba posłów po odczytaniu interpelacyi i wniosków przystąpiła do dalszej dyskusyi nad nowelą przemysłową.

**Wiedeń.** Na dzisiejszem posiedzeniu delegacyi austryackiej del. Kramarz polemizował z wywodami hr. Gołuchowskiego, wygłoszonymi w komisyi, a następnie omawiał politykę rosyjską. Rosya — zdaniem jego — skutkiem wojny na Dalekim Wschodzie nie będzie mogła przez szereg lat odgrywać takiej roli czynnej w polityce, jak dawniej. Austrya powinna iść ręka w rękę z Rosyą na Bałkanie i nie ma obawy, aby skutkiem tej polityki przyszło do nieporozumienia między temi państwami. Wkrótce przyjdzie do porozumienia między Rosyą a Anglią. Kramarz występuje przeciw trójprzymierzu i usługom wyświadczonym Niemcom, jest za utrzymaniem dobrych stosunków z Rosyą i Włochami, zaś stosunek do Niemiec musi doznać rewizyi. O los Austryi mówca jest spokojny, gdyż nie ma pewnie polityka w Europie, którybyby nie przyznawał, że bez Austryi nie ma równowagi ani w Europie, ani w świecie.

Omawia następnie zajścia w Rosyi, gdzie obecnie jest rewolucya nie polityczna, lecz społeczna. Główną kwestyę tworzy obecnie sprawa własności.

Mówca ubolewa, że umiarkowani nie mają tam odwagi do umiarkowania. Wolność i porządek są jedyną rzeczą, czego teraz Rosyi potrzeba, ale niestety ci, co chcą wolności, nie mają odwagi zrobić porządku, zaś ci co chcą porządku, nie chcą wolności.

Wobec wywodów p. Strauchera o mordowaniu żydów w Rosyi, przyznaje Kramarz, że każdy po ludzku czujący człowiek musi być do głębi dotknięty opisami zajść w niektórych miastach rosyjskich, sądzi jednakże, że nie powinno się być jednostronnym. Mówca zwraca uwagę na to, że żydzi w Rosyi odgrywają pierwszą rolę w rewolucyi.

Wobec wielkiego niebezpieczeństwa społecznego, jakie grozi monarchii habsburskiej ze Wschodu, trzeba i u nas zadowolić masy i ich potrzeby zaspokoić. Dobra polityka wewnętrzna jest najsilniejszą podstawą dobrej polityki zewnętrznej. Ponieważ mówca nie jest zadowolony z polityki wewnętrznej, będzie głosował przeciw budżetowi.

Del. Baernreither wskazuje na to, że monarchia skutkiem dualizmu ma mniejszą zdolność akcyi, niż inne mocarstwa, i że jej siła inicyatywy na zewnątrz w ostatnich latach z powodu przesileń wewnętrznych ucierpiała, gdy inicyatywa innych mocarstw wzrosła. Polemizuje z p. Kramarzem i wskazuje na wartość trójprzymierza, które przez lat 30 utrzymało pokój. Krytykuje zachowanie się Włoch, które darowały Czarnogórze działa. Omawia obszernie stosunek monarchii do Rosyi i w końcu oświadcza, że jest z zupełnem uznaniem dla polityki zagranicznej hr. Gołuchowskiego.

Del. Szustersic wzywa do zawarcia pokoju między Austryą a Węgrami, aby mogła być silniejsza nasza polityka na Bałkanie. Nie chodzi o formę, lecz o treść. Nie chodzi o to, czy traktat handlowy, czy sojusz handlowy, lecz o porozumienie się.

Hr. Schönborn omawia stosunki węgierskie i apeluje do ministra spraw zagranicznych, aby utrzymał jedność monarchii, co być może tylko na podstawie ugody z r. 1867.

Zabiera głos del. Abrahamowicz.

## HOTEL GEORGE'A.

*Pokoje od 3 koron począwszy.*

Przyjechali dnia 23 czerwca. Hr. A. Szeptycki z Królestwa. S. hr. Komorowski z Siekierczyc. M. hr. Tarnowska ze Sniatynki. S. br. Findeisen ze Spasa. K. Bromirski z Faszczówki. S. Lityński z Litwinowa. W. Garapich z Czerteża. W. Reiff z Warszawy. L. Lieberman z Borysławia. F. Wolfram z Wiednia. E. Hamerschmidt z Przemyśla.

## HOTEL EUROPEJSKI.

Przyjechali dnia 23 czerwca A. Jędrzejowicz z Dylągówki. F. Niedobylski z Zamościa. S. Kiwerski z Łaszczówki. Dr. L. Aleksiewicz ze Stanisławowa. Radzca Mandyczewski z Kołomyi. Jul. Grosse z Krakowa. A. Sorro z Medyolanu. Dr. K. Midowicz z Drohobycza. A. Landesberg z Denysowa. E. Zimmermann z Hamburga. P. Załęski z Rosyi. J. Łukasiewicz z Zerzawy.

## HOTEL FRANCUSKI

Przyjechali dnia 23 czerwca. N. Bogdański ze Złoczowa. H. Spitzer z Bielska. J. Huber z Pragi. W. Szajna i J. Hajdowie z Drohobycza. W. Przytawski z Turki. W. Zygmuntowski z Kijowa. E. Rostal z Cieszyna. J. Friedler, F. Fronna, K. Eisler, C. Schrauth i S. Kohn z Wiednia. L. Eydziatowicz z Sanoka. M. Szefer z Mostów Wielkich. J. Gold ze Złoczowa. K Komadina z Budapesztu. J. Krzysztofowicz z Artasowa. L. Krzysztofowicz z Mienaszowa. L. Lleimann z Tarnowa Paparowid z Podlisek. R. Brickner z Brzeżan.

## Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.



## Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1906 według czasu środkowo - europejskiego.

**Przychodzą do Lwowa:**

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***. 5.50, 8.45, 5.25, 9.30*.
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7,20, 11.45, **2.20**, 5.50, 10.30.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: **2.05**, 7.00, 11·25, 5.25 10.12*.
Z Czerniowiec: **12.20***, **1.40**, 6.10, 5.45, 9.05*.
Z Kołomyi: 10.05.
Z Stanisławowa 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.37.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego 7·29, 11·50, 10·50*.
Z Tuchli 8.55
Z Bełzca 4·55.

**Odchodzą ze Lwowa:**

Do Krakowa: **8.25. 12.45***, **2.45**, 4.05*, 8.35, 6.35*, 11.00*.
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, **10.55**, **2.21**, 6.15*, 9.50*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: **2.36**, 6.55, 11.15, 6.37* 10.08*;
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.30*.
Do Rawy i Sokala: 7. 5*.
Do Jaworowa: 6.55, 6.00*.
Do Sambora: 8.55, 4.15, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 8.30.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05*
Do Ławocznego 7.30, 2.30, 6.25*,
Do Bełzca 10.45.
Do Stanisławowa, Czortkowa, Husiatyna 9·10*

### Pociągi lokalne.

**Przychodzą do Lwowa:**

Z Brzuchowic: (od 6 maja do 23 września) 7.07 przedpołudniem, 8.25, 5.30 popołud. i 8.20 wieczór (w niedziele i rz. kat. święta), 10.00 przedpoł.. 1.46 po południu, (od 1 czerwca do 31 sierpnia wł. codziennie) 9,35 wieczór.
Z Janowa: od 1|5 do 30|9 wł. codziennie) 1.15 popoł., (od 18|5 do 9|9 wł. codziennie) 8.45 wieczór, zaś w niedziele i rz. kat. święta 9.25 wieczór.
Ze Szczerca: (od 27|5 do 16|9 wł. w niedzielę i rz, kat. święta) o 9.40 wieczór.
Z Lubienia: (od 18|5 do 16|9 wł. w niedz. i rz. k. święta) o 11.50 wieczór.

**Odchodzą ze Lwowa:**

Do Brzuchowic: (od 6 maja do 23 września wł.) 6.05 rano. 2.28, 3.40 i 6.26 popoł. (tylko w niedziele i rz. kat. i święta); 9.00 przedpoł. i 12.40 popołud, Od 1|6 do 31|8 wł. codziennie 8.34 wieczór.
Do Rawy Ruskiej 11·35 w nocy (każdej niedzieli).
Do Janowa: (od 1|5 do 30|9 wł. codziennie) .1 przed poł. (od 18|5 do 9 9 wł. w niedziele i rz. k. święta) 1.35 popoł., zaś codziennie 8.14 popoł.
Do Szczerca 10.45 przedpoł. (od 27|5 do 16|9 w niedz. i rz. k. święta).
Do Lubienia: 2.01 popoł. od 18|5 do 16|9 w niedziele i rz. k. święta.

**Uwaga.** Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min 59 rano.

5)

## Walka milionera ze złodziejem.

*(Z angielskiego.)*

(Ciąg dalszy).

Przedstawił się jako Hektor Macpherson, właściciel rozległego „terytoryum“ w Brazylii. Rozwodził się nad bogactwem mineralnem swoich dóbr, zawierających kopalnie srebra, platyny, rubinów, a nawet brylantów. Słuchałem z uśmiechem, wiedząc, co z tego wyniknie. Dla rozszerzenia eksploatacyi potrzebował trochę większego kapitału... Górna Amazonka podmywała setki tonn platyny i tysiące funtów rubinów; z braku pieniędzy marnowały się takie skarby. Dla tego, kto miał kapitały do umieszczenia, nie było lepszej lokacyi; on, Macpherson, gwarantował 40 procent.

— Nie zrobiłbym tego byle komu — powiadał — ale już mam taką naturę: gdy mi się kto podoba, gotów jestem usłać mu gniazdko puchem.

— Bardzo to szlachetnie i bezinteresownie z pańskiej strony — odparłem, nie odrywając oczu od jego brwi.

Pastor grał tymczasem w bilard z sir Karolem, od czasu do czasu rzucał mi porozumiewające spojrzenie i spoglądał na brwi małpie.

— Przyprawne! przyprawne! — rzekł, poruszając ustami, a w życiu mojem nie widziałem, aby kto potrafił tak wyraźnie mówić bez dźwięków.

Doktor Hektor Macpherson przywarł do mnie, jak synopizm, a był nieznośny. Nabrałem wstrętu do Górnej Amazonki, widok rubinów stawał mi się torturą, a to wrażenie pozostało tak długo, że gdy w kilka miesięcy potem Karol, w przystępie niezwykłej hojności, ofiarował swojej siostrze Izabeli (której mam zaszczyt być mężem), naszyjnik z rubinów (podrzędnego gatunku), prosiłem ją, aby zamieniła je na szafiry, wmawiając, że są odpowiedniejsze do jej cery. Taki argument trafia zawsze do przekonania kobiety...

Idąc spać, życzyłem, aby w ciągu nocy Górna Amazonka zalała całą Brazylię, i miałem ochotę otruć posiadacza kopalni srebra i platyny.

Przez trzy dni następne nie dawał mi spokoju, „piłując“ na śmierć swoimi kruszcami i drogimi kamieniami.

Nie szukał kapitalisty, któryby chciał prowadzić ten interes na własną rękę; wolałby sam eksploatować kopalnie, ofiarując kapitaliście wysokie dywidendy od nabytych akcyj.

Słuchałem z uśmiechem; potem słuchałem ze znudzeniem, potem słuchałem ze wściekłością, wreszcie przestałem słuchać; on na to nie zważał i błądził za mną, jak cień. Pewnego dnia zdrzemnąłem się podczas jego wywodów, a gdym się obudził po kwadransie, wpadły mi w ucho cyfry o wydatności platyny — nie pamiętam już, ile dawała tonn na minutę, czy sekundę.

Pastor Barbazon i jego żona byli ludźmi innego zupełnie pokroju. On był wesół, zamiłowany w sportach, ona śliczna i skromna; przezwaliśmy ją „polną różyczką“.

Milionerzy są tak przyzwyczajeni do wyzysku, że, gdy zdarzy im się spotkać młodą parę, pełną prostoty i bezinteresowności, chętnie uprawiają taki stosunek. To też odbywaliśmy wspólne wycieczki, urządzaliśmy pikniki. Młodzi małżonkowie byli w sobie tak zakochani, że miło mi było patrzeć na te objawy szczerego uczucia.

Pani Barbazon była nieśmiała i płochliwa, rumieniła się jak pensyonarka i łatwo ją było zbić z tropu.

Pastor chciał nas kiedyś przewieźć po jeziorze, „polna różyczka“ dowodziła, że i ona umie wiosłować; baliśmy się jednak powierzać nasze cenne życie w tak wątłe rączki, a to tembardziej, że jazda czółnem źle oddziaływa na organy trawienia Amelii.

— Miły człowiek z tego Barbazona — rzekł do mnie kiedyś sir Karol. — Ani razu nie prosił mnie o protekcyę dla nikogo, a i sam nie dba o zaszczyty. Powiada, że jest zadowolony ze swego stanowiska, że probostwo na wsi daje mu tyle, ile potrzebuje, a jego żona ma troszeczkę pieniędzy, tak, że im niczego nie brakuje. Naumyślnie pytałem go dziś o ubogich w parafii: pastorowie trafiają zwykle do mojej kieszeni drogą miłosierdzia. Otóż ten jest wyjątkowym proboszczem; odpowiedział mi, że że nie ma ubogich w swej parafii — sami zamożni gospodarze, lub zdolni rzemieślnicy. Jedyną jego obawą, aby kto nie zdemoralizował ich ofiarami. „Gdyby jaki filantrop chciał mi dać pięćdziesiąt funtów na mieszkańców Empingham — mówił — za te pieniądze kupiłbym suknie dla Jessie, która potrzebuje ich tak samo, jak inne kobiety we wsi, to jest, że nie potrzebuje ich wcale.“ Szkoda, że nie mamy takiego proboszcza w Seldon!

— Barbazon nic od ciebie nie żąda i niczego się nie spodziewa, to oczywiste.

Owego dnia, przy obiedzie zdarzył się niespodziany epizod. Doktor Macpherson mówił ze mną przez stół, sławiąc swoje kopalnie nad Górą Amazonką. Starałem się odpowiadać, jak mogłem najgrzeczniej, gdy nagle dostrzegłem spojrzenie Amelii. Dawała sygnały mężowi, aby zwrócił uwagę na spinki małego pastora.

Rzuciłem na nie okiem i zdziwiło mnie, że człowiek ubogi może mieć takie klejnoty: były to małe łańcuszki, zakończone z jednej strony poprzeczną sztabką złotą, z drugiej strony — wspaniałym brylantem.

Zrozumiałem, co znaczą spojrzenia Amelii. Miała ona przepyszną *rivierę* brylantewą, pochodzącą jakoby z Indyj, brakło tylko dwu kamieni do objęcia jej dość grubej szyi. Otóż marzyła oddawna o takich dwóch brylantach, lecz skutkiem niezwykłego kształtu dotychczas nie mogła ich znaleźć.

„Polna różyczka“ spostrzegła wzrok Amelii, utopiony w spinkach. Uśmiechnęła się i rzekła do męża:

— Lady Vandrift przygląda się twoim spinkom.

— Śliczne brylanty! — zawołała Amelia.

Był to zachwyt nieostrożny, skoro chciała je nabyć.

Ale pastor był zanadto prostoduszny, aby z tego skorzystać.

— Ładne brylanty — rzekł — bardzo ładne, ale to nie są prawdziwe brylanty, tylko wyborna imitacya. Mój pradziadek kupił je po oblężeniu Scringapotam za kilka rupij od żołnierza, który je ukradł z pałacu sułtana Tipu. Sądził, tak jak pani, że to są prawdziwe brylanty, lecz okazało się, że imitacya. Podobno ktoś oszukał sułtana, sprzedając mu je za prawdziwe. W istocie są warte z 50 szylingów, nie więcej.

Karol spojrzał na Amelię, Amelia na Karola. Oczy ich powiedziały sobie bardzo dużo.

*Riviera* mojej bratowej pochodziła także ze skarbca Tippu. Oboje małżonkowie wyciągnęli odrazu ten sam wniosek. Były to dwa brylanty z tego samego naszyjnika, oderwane zapewne wśród bójki przy rabowaniu pałacu.

— Czy mógłby pan je odpiąć? — rzekł sir Karol do pastora.

— Naturalnie — rzekł z uśmiechem. — Jestem przyzwyczajony do wyjmowania tych spinek, bo wszyscy zwracają na nie uwagę. Przechowujemy je w rodzinie jako pamiątkę, nie zaś dla ich wartości, bo to imitacya, wyborna imitacya wschodnia. Orzekli tak pierwszorzędni jubilerzy.

Wyjął spinki i podał je sir Karolowi. Nikt w Anglii nie zna się lepiej na klejnotach od mego szwagra. Badał je naprzód gołem okiem, potem przez binokle, wreszcie przez szkła powiększające, które zawsze nosi przy sobie.

— Wyborna imitacya — rzekł, podając je Amelii. — Nie dziw, że ludzie, nie znający się na rzeczy, mogą je brać za brylanty.

Z jego tonu poznałem, że są prawdziwe. Jestem już dobrze obeznany ze sposobami robienia intersów mojego szwagra.

— Poznał się na nich, Dicku — rzekła „Polna różyczka“. — Wiedziałam, że sir Karol oceni je należycie.

Amelia obracała brylanty w palcach. Znam także Amelię ze spojrzeń jej; domyślałem się, że chce je posiąść. A gdy Amelia chce coś pozyskać, lepiej nie stawiać jej oporu, bo to się na nic nie zda.

Brylanty były wspaniałe. Dowiedzieliśmy się w następstwie, że pastor mówił prawdę: pochodziły istotnie z tej samej *riviery*, która zdobiła niegdyś szyję ulubienicy Tippoca, a dziś olśniewa ludzi na szyi lady Vandrift; trudno o piękniejsze kamienie. Budziły zachwyt znawców i złodziejów.

Amelia opowiadała mi potem legendę: żołnierz angielski ukradł te brylanty podczas rabunku pałacu i bił się o nie z drugim; parę kamieni oderwało się wśród bójki, podniósł je i odsprzedał trzeci żołnierz, świadek tych zapasów, który nie miał pojęcia o ich wartości. Amelia przez kilka lat poszukiwała tych dwu brylantów dla uzupełnienia *riviery*.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.**

Papier z fabryki Braci Małkowskich.

Z drukarni E. Wi[illegible]